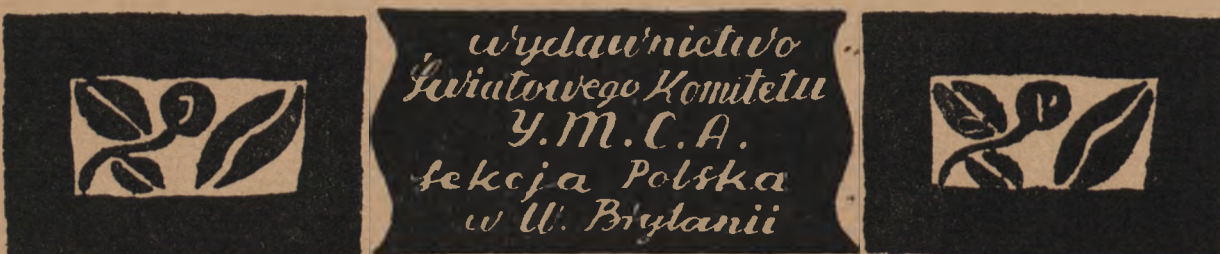


NUMER

177/178

1955

PORADNIK KULTURALNO-OŚWIATOWY



*Wydawnictwo
Światowego Komitetu
Y.M.C.A.
Sekcja Polska
w W. Brytanii*

TREŚĆ

Feliks Bielski: Język i krew str. 1

ŚWIETLICA

Bolesław A. Wysocki: O skutecznym nauczaniu str. 2

Tadeusz Malinowski: Z dziejów oświaty dorosłych w Polsce str. 3

Jan Galiński: Czytanie poezji str. 6

Anna Bogusławska: Biblioteki wiejskie i prowincjonalne w Stanach Zjednoczonych Ameryki str. 9

M. T.: Studia wyższe na emigracji str. 12

WIECZORNICE

Józef Korzeniowski: Wąsy i peruka (akt II) str. 14

Zdzisław Faczyński: (arr.) Kujawiak str. 22

WIADOMOŚCI

Ferdynand Goetel: Sporty zimowe w Polsce str. 24

Alfred Sokolnicki: 75 lat Uniwersytetu Katolickiego str. 27

Z życia YMCA str. 28

Adres Redakcji i Administracji: 46/47, Kensington Gardens Square, London, W. 1.

PRENUMERATA: Roczna — £1 sh. 1. Półroczna — sh. 12.

Cena numeru pojedynczego sh. 2, podwójnego sh. 4 wraz z przesyłką.

We Francji: Comité d'Action YMCA en France, Sekcja Polska, 13, Avenue Raymond Poincaré, Paris 16-a.

PRENUMERATA: Roczna 700 frs., półroczna 360 frs. Cena numeru pojedynczego 60 frs., podwójn. 120 frs.

OGŁOSZENIA: 1/1 str. — £40. 1/2 str. — £21. 1/4 str. — £11. 1/8 str. — £6. 1/16 str. — £4.

Rękopisów niezamówionych i niezastrzeżonych Redakcja nie zwraca.

Przedruk materiałów oryginalnych i specjalnie dla „Poradnika Kulturalno-Oświatowego“ napisanych dozwolony tylko za zezwoleniem Redakcji.

Printed by „Gryf Printers (H. C.) Ltd.“, 171, Battersea Church Road, London, S. W. 11.

P O R A D N I K KULTURALNO - OŚWIATOWY

ADVISER FOR EDUCATIONAL AND SOCIAL WORKERS

Nr 177/178

Rok 15

Wydawca: Światowy Komitet Y.M.C.A., Polska Sekcja w W. Brytanii,

46/47, Kensington Gardens Square, London W. 2.

Maj—czerwiec

1955

FELIKS BIELSKI

J Ę Z Y K I K R E W

Karol Libelt, jeden z naszych myślicieli z połowy ubiegłego stulecia, zastanawiając się nad rolą języka ojczystego w życiu narodowym, porównał go do krwi, krążącej w organizmie cielesnym. Podobnie jak z utraceniem krwi kończy się życie, tak i z wyrzeczeniem się mowy ojczystej słabnie poczucie odrębności narodowej. Libelt wyciągał ze swego porównania dalej idące wnioski i twierdził, że nawet zepsucie języka, zanieczyszczenie go obcymi wyrazami jest zazwyczaj znamieniem choroby, trawiącej organizm społeczny.

Doświadczenie tylko w części potwierdziło słuszność tych wywodów. Przekonaliśmy się, że powiązania narodowe nie kończą się z zerwaniem więzów narodowych. Wśród Amerykanów polskiego pochodzenia spotyka się osoby, które wprawdzie już nie mówią po polsku, ale nie tylko poczuwają się do żywej łączności ze swymi przodkami, nie tylko działają czynnie na rzecz sprawy ojczystej, lecz i współpracują bezpośrednio z miejscową Polonią.

Podobne zjawisko występuje i na innych obszarach, zamieszkałych przez dawną, przedwojenną emigrację. Nawet jeśli chodzi o tradycję kulturalną, nie idzie ona w zapomnienie, tyle tylko, że spośród jej składników na miejsce czołowe wysuwają się te, których odbiór nie wymaga znajomości języka, jak muzyka, śpiew, taniec, plastyka, strój narodowy, zdobnictwo, obyczaj świąteczny. Nic nie stoi również na przeszkodzie korzystaniu z dzieł naszego piśmiennictwa w dobrych przekładach, których liczba nieustannie wzrasta.

Wszystko to prawda. Niemniej sąd Libelta opiera się na głębokim wyczuciu praw, rządzących zbiorową egzystencją narodową. Wspólnota społeczna, pozbawiona władzy językowego, jest niepełna i nie oddaje rzeczywistego pokrewieństwa wewnętrznego. Znajomość rodzinnych

arcydzieł literackich za pośrednictwem przekładów daje zaledwie słabe wyobrażenie o ich wartości ogólnej. Bez wspólnej mowy zaniknąć musi ta szczególna, serdeczna poufalość, jaką daje posługiwanie się w gronie rodaków językiem ojczystym.

W związku z tymi ograniczeniami kurczą się możliwości pracy na rzecz swoich. Niepodobna oddziaływać skutecznie na opinię rodaków, przemawiając do nich czy też pisząc językiem obcym. Maleją również szanse na odbiór żywych zjawisk kulturalnych czy to w kraju ojczystym, czy skupieniach uchodźczych, rozproszonych po szerokim świecie. Uwaga jest skierowaną mimo woli na to, co dzieje się gdzieindziej, i traci z pola widzenia sprawy rodzime. Wzajemnie rodacy mają mniejsze zaufanie do osoby, która nie zadaje sobie trudu przyswojenia mowy ojczystej, co odbija się nawet na mniejszym poparciu w sprawach zawodowych i handlowych.

Wiadomo także, że rodzina, której członkowie nie używają tej samej mowy, przejawia dążność do rozproszenia. Młodzież lgnąc zaczyna przede wszystkim do kolegów i rówieśników, z którymi prędzej można się dogadać. Dom zatracą moralną siłę przyciągającą, staje się chłodny i niepełny. Nie ma mowy o bliskim wzajemnym zrozumieniu, a co za tym idzie, o tym stopniu serdeczności, jaki cechuje rodziny polskie nie tylko z nazwy, ale i z języka.

Niedocenie języka ojczystego jest więc zjawiskiem szkodliwym. Ogół winien uświadomić sobie utratę zbiorową, jaką ponosi skutek niedostatecznego zrozumienia dla doniosłości władzy językowego. Coraz bardziej wzrasta liczba cudzoziemców, władających naszym językiem. Byłoby to prawdziwie doniosłym czynnem zbiorowym, gdybyśmy mogli to samo powiedzieć o swoich.

ŚWIETLICA

technika pracy — zagadnienia kulturalne i oświatowe

BOLESŁAW A. WYSOCKI

O SKUTECZNYM NAUCZANIU

Wiele się pisało i pisze no temat skutecznego nauczania. Nie chodzi tylko o jego skuteczność, ale również o wypracowanie metody nauczania możliwie najłatwiejszej tak dla nauczyciela, jak i ucznia, metody, która by nie nużyła, ale zawierała uczucia przyjemności i zadowolenia. Psychologia w tym zadaniu oddaje nieocenione usługi. Bez jakiegokolwiek pretensji do naukowości podają garść psychologicznych wskazówek do skutecznego nauczania, wskazówek, których obszernie omówienie znajdzie czytelnik w każdym dobrym amerykańskim podręczniku psychologii szkolnej.

Może naczelnym założeniem przed rozpoczęciem nauczania jest stwierdzenie, że nikt się nie uczy, skoro nie zrodzi się jakiś pociąg do nauki. Może to być tendencja wrodzona, może to być zainteresowanie czy ciekawość, a nawet coś, co ma cechy tajemnicy do odkrycia, osobiste przywiązanie, współzawodnictwo czy jakakolwiek inna motywacja; może to być nawet obawa przed siłą, — ale jakiś motyw istnieć musi. Oczywiście chodzi o to, aby ten motyw z punktu widzenia psychologicznego był najskuteczniejszy. Psychologia motywacji, tak dzisiaj wspaniale się rozwijająca, może oddać nauczycielowi nieocenione usługi, a uczniowi zaoszczędzić niejednej gorzkiej chwili w szkole czy jakiegokolwiek innej instytucji nauczającej.

Na drugim miejscu postawiłbym zasadę, że człowiek uczy się tym szybciej i tym mocniej utrwała wiedzę w pamięci, im pełniejsze ma zrozumienie dla przedmiotu. Bardzo często uczeń nie rozumie tego, co jest jasne dla nauczyciela, i stąd zawsze byłem przeciwnikiem profesorów, których wykłady stały rzekomo na tym wyższym poziomie, im trudniejsze były do zrozumienia dla jego uczniów. Takiego profesora raczej uważam za gorszego. To samo dotyczy naszej wielkiej literatury dla prostaczków, o czym już kil-

ka razy na łamach gościnnego „Poradnika“ pisałem. Podobające się przeromantyzowanym rodakom hasło: „sobie śpiewam a muzom“ uważam za karygodne u profesora, którego zadaniem jest uczyć. Uważam je za zbyt techniczny balast nawet i w pięknej literaturze.

Otoczenie ucznia również ma duży wpływ na uczenie się. To, czego chcemy nauczyć, winno się stać prosto częścią własnego otoczenia ucznia, tym, co widzi, czuje, czym żyje i czego wpływowi podlega.

Czas odgrywa niemniej ważną rolę w nauczaniu. Znaczy to, że trzeba ucznia przygotować do procesu uczenia się, bez względu na to, czy to będzie ćwiczenie fizyczne czy intelektualne.

Jedną z naczelnych zasad skutecznego nauczania jest zrozumienie prawdy, że nie wszyscy uczniowie są sobie równi. Tylko w granicach prawa możemy mówić o równości; poza tym Bóg każdego stworzył na inną miarę. Znajdziemy wśród uczniów tak przeogromną różnorodność odmian intelektualnych i emocjonalnych, iż pchanie ich wszystkich do jednej i tej samej sali, przy użyciu tego samego kanonu nauczania, uważać można nie tylko za stratę czasu i pieniędzy, ale, co ważniejsze, za czynność, która powoduje marnowanie jednostek zdolnych z jednej strony, a wykołajenie słabszych z drugiej. Demokracja to wielka rzecz; każdy ma to samo prawo do traktowania go indywidualnie, odpowiednio do jego zdolności i przydatności oraz innych psychologicznych różnic. Bez zrozumienia tej prawdy nauczyciel nie odniesie sukcesu.

Prócz zrozumienia przedmiotu nauki bardzo pożyteczne jest przeświadczenie, że to, czego się uczymy, jest nam potrzebne, czyli, zgodnie z ekonomią czasu i wysiłku, nauczyciel winien unikać nauczania tych rzeczy, które dla uczących się są niepotrzebne. Z tym wiążą się takie

elementy, jak przyjaźliwość nauczyciela, poczucie pewności siebie ucznia, dobrowolne przyjęcie przez niego przedmiotu nauki i wiara w sukces. Brak tych elementów powoduje psychologiczny proces napięcia czy natężenia, to, co w psychologicznej terminologii angielskiej nazywamy „tension“.

Studium zainteresowań zajmuje poczesne miejsce w nowoczesnej psychologii. Stwierdzono, że skuteczność nauczania idzie równoległe z stopniem zainteresowania ucznia do przedmiotu. Bez zainteresowania wynik nauki może być bardzo ubogi. Stąd dużą pomyłką jest przeznaczenie dziecka do tego czy innego zawodu bez zbadania jego rzeczywistych zainteresowań, które często mogą ujawniać się od wczesnego dzieciństwa. Zainteresowanie jest bowiem potężnym źródłem siły w tzw. motywacji uczenia się. Nauczyciel, który zaniedbuje zainteresowania ucznia, pozbawia się jednego z najważniejszych czynników skutecznego nauczania.

Nie trzeba udowadniać, jak ważnym czynnikiem jest osobiste zadowolenie. Jest ono również nieodzowne przy właściwym nauczaniu. To, co daje nam zadowolenie, chętnie powtarzamy, tego zaś, co nam dokucza, unikamy.

Uczenie się czegoś jest tym skuteczniejsze i tym trwalszy daje wynik, im bardziej warunki nauczania przypominają nam warunki rzeczywistego życia. Czynności życia (zachowanie się, przyzwyczajenia, umiejętności, zawody) przyswajają się szybciej, gdy metody w szkole odpowiadają tym stosunkom rzeczywistym.

Bardzo ważną jest rzeczą, często przez nauczycieli zapominaną, a za czasów mego pobytu w szkole powszechnej nigdy nie przestrzeganą, jest nauczanie przedmiotu w odniesieniu do całości, a nie odosobnionych „kawałków“. Nie powinno się wyodrębniać części, które należą do całości.

Skuteczność nauczania zależy w wielkiej mierze od aktywności uczącego się. A więc inten-

sywna praktyka, uczestnictwo w programie od początkowego planowania do sprawdzenia własnych wyników, kontrola intelektualna i emocjonalna są wielce pomocnymi czynnikami w procesie uczenia się.

Ważne jest właściwe użycie uzdolnień. Zaniedbanie ich albo niewłaściwe użycie to jedna z przyczyn, prowadzących do psychologicznych zaburzeń osobowości, jak np. osobistego niedostosowania się do otoczenia, oraz główna przyczyna niezadowolenia jednostki. Zmarnowany talent, a co za tym idzie, psychologiczny proces zawodu („frustration“) często prowadzi do objawów neurotycznych.

Z poprzednią uwagą łączy się zasada, by w nauczaniu przestrzegać ciągłości, tzn. by uczący się przechodził stopniowo kolejne fazy nauczania przedmiotu. Logiczną zatem rzeczą jest zacząć naukę od tego poziomu, jaki uczeń wykazuje, i stopniowo ją kontynuować z szczebla na szczebel. Proces przyswajania sobie materiału nie jest bowiem czymś w rodzaju drabiny, po której można się pięć, omijając jeden, dwa czy więcej szczebli.

Chciałbym podkreślić znaczenie jak najszerszego użycia zmysłów ucznia w procesie uczenia się. Niedobrze jest ograniczać się do czytania lub tylko do słuchania. Uczymy się znacznie lepiej, jeżeli równocześnie widzimy, słyszymy, dotykamy, naprężamy mięśnie, smakujemy, czujemy itp. To, co widzimy oczyma naszej myśli, znakomicie wzmacnia się przez użycie naszych zmysłów.

Mówi się przeważnie, że to, czego nauczymy się w pierwszych latach naszego życia, przetrwa to, czego się nauczymy w ciągu reszty naszych lat. Nie wiem, jak dalece słuszne jest to przekonanie z punktu widzenia naukowego, ale z pewnością wczesne lata życia w domu nabierają szczególnej wagi, o czym winni pamiętać ci, którzy dążą do jak największej skuteczności nauczania.

TADEUSZ MALINOWSKI

Z DZIEJÓW OŚWIATY DOROSŁYCH W POLSCE

Stan analfabetyzmu w Polsce we wczesnym okresie niepodległościowym był alarmujący. Do walki z tą plagą stanęły szkoły, wojsko, kościoły, zakłady pracy, samorządy, związki zawodowe,

spółdzielność, organizacje społeczne i oświatowe i nawet poszczególne jednostki, nie związane organizacyjnie z żadną instytucją lub organizacją. Co więcej, powstawały specjalne organiza-

cje społeczne, mające na celu walkę z analfabetyzmem, jak np. Warszawskie Towarzystwo Kursów dla Dorosłych, które działało na obszarze pow. warszawskiego i żywot swój rozpoczęło od kursów dla analfabetów. Podobne inicjatywy rozdziły się w wielu innych częściach kraju.

Wielką przeszkodą w tej kampanii był brak izb szkolnych i nauczycieli. Z izbami jednak jeszcze jako tako sobie radzono. Na wsiach kursy odbywały się w izbach mieszkalnych, za każdym razem u innego uczestnika kursu. W miastach było trudniej, lecz z pomocą przychodziły organizacje społeczne, zakłady pracy, a nawet i urzędy, przez użyczenie swoich biur dla kursów wieczorowych. Znacznie gorzej przedstawiała się sprawa kadr nauczycielskich. Tych było brak, jeszcze bowiem w 1924 i 1925 roku przyjmowano do zawodu nauczycielskiego uczniów gimnazjalnych zaraz po maturze i doksztalcano ich na wakacyjnych kursach pedagogicznych.

Nic więc dziwnego, iż w szeregach jednostek, nauczających analfabetów, znalazło się dużo ludzi dobrej woli, nie z zawodem nauczycielskim nie mających wspólnego. Na tym jednak nie kończyły się trudności, albowiem pracujące już kadry nauczycielskie nie były przygotowane do nauczania dorosłych, ani też nie było odpowiednich podręczników. Nauczyciele, posiadający wykształcenie pedagogiczne, często żywcem przenosili na dorosłych metody, które stosowali do dzieci. Inni, nie mający wykształcenia pedagogicznego, dawali z siebie to, co umieli sami, uczyli tak, jak ich kiedyś uczono, czyli według określenia ś.p M. Godeckiego stosowali „Marcinową metodę“, pochodzącą od przysłowia „Uczył Marcin Marcina...“.

Brak odpowiednich podręczników rodził najprzeróżniejsze pomysły. Uczono na gazetach lub przygodnych książkach. Jakże bowiem śmiesznie wygląda dorosły człowiek, uczący się czytania z elementarza lub czytanki Falskiego, opracowanej dla 7-letniego dziecka, albo przy nauce rachunków liczący kasztany lub jabłka. Nieumiejętność podejścia i brak podręczników bardzo niekorzystnie odbijały się na wynikach pracy. Początkowo chętny do nauki analfabeta, nie czyniąc szybkich postępów w nauce, zniechęcał się; trudna sztuka pisania i czytania wydawała mu się nie do pokonania; nie rozumiejąc zaś właściwych przyczyn, tj. braku metod i podręczników, jako przyczynę widział własny brak zdo-

lności i niejednokrotnie przerywał rozpoczętą naukę.

Należało więc szybko doszkolić personel nauczycielski i zaopatrzyć teren w odpowiednie podręczniki. Doszkalanie musiało odbywać się w takim czasie, by nie następowala przerwa w nauczaniu, a więc w okresie świąt i wakacji nauczycielskich, na krótkich konferencjach niedzielnych, krótkoterminowych kursach i przez instruktorów objazdowych.

Niemalą rolę w szkoleniu kadr nauczycielskich odegrały istniejące jeszcze w okresie przed niepodległościowym organizacje społeczno-oświatowe, że wymienię tylko najbardziej znane z nich, jak Polska Macierz Szkolna, Towarzystwo Szkoły Ludowej i Towarzystwo Czytelń Ludowych. Już w okresie niepodległościowym z inicjatywy oświatowców powstaje w Warszawie Centrala Kursów dla Dorosłych, przekształcona w późniejszym okresie w Instytut Oświaty Dorosłych. Instytucja ta wypełnia lukę, jaka istniała w naszym systemie oświatowym. Nie ogranicza się ona tylko do walki z analfabetyzmem, lecz rozszerza zagadnienie do pojęcia oświaty dorosłych, wychodząc ze słusznego założenia, że opanowanie sztuki czytania i pisania nie wystarcza, człowiek bowiem, mający rzadką sposobność używania tej sztuki, szybko popada w analfabetyzm powrotny. Należało zatem rozszerzyć i pogłębić wykształcenie, wpoić w człowieka nawyk do używania zdobytej wiedzy i starać się dostarczyć odpowiedniego materiału i środków do dalszego pogłębiania wiedzy.

Jako minimum wykształcenia dla dorosłych Centrala Oświaty Dorosłych widziała program szkoły powszechnej, zredukowany o niepotrzebne dorosłym przedmioty, jak np. rysunki, roboty ręczne, śpiew itp., i uzupełniony przedmiotami, ułatwiającymi obywatelowi branie udziału w życiu państwa. Chodziło o rozszerzenie i pogłębienie nauki o Polsce Współczesnej, ze specjalnym uwzględnieniem Konstytucji i ordynacji wyborczej do Izb Ustawodawczych. Ponadto program był dość elastyczny i dopuszczał wprowadzanie przedmiotów ważnych ze względu na środowisko, z jakiego rekrutowali się uczniowie. Do tej kategorii na wsi należało zagadnienie reformy rolnej, komasacji gruntów, spółdzielczości rolniczej; w miastach zaś i środowiskach robotniczych — zagadnienia ochrony i bezpieczeństwa pracy, związki zawodowe, spółdzielczość spożywców itp.

Centrala Oświaty Dorosłych opracowuje i wydaje podręczniki i pomoce naukowe, ogłasza poradnik, organizuje kursy dla nauczycieli i konferencje uruchamia zespół instruktorów objazdowych. Powoli przesiąka do seminariów nauczycielskich i sprawia, że zagadnienie oświaty dorosłych zaczyna się pojawiać w programach seminariów nauczycielskich pod nazwą oświaty pozaszkolnej. Zaszczepia swoje idee w samorządach większych miast Polski oraz poprzez centrale organizacji nauczycielskich, rolniczych i młodzieży wiejskiej wkracza na wieś.

W ten sposób Centrala Kursów dla Dorosłych przejmuje na siebie rolę czynnika oficjalnego (pierwszy wydział oświaty pozaszkolnej w Min. W.R. i O.P. powstaje w 1929 r.). Działanie jej jako działanie społeczne, oparte na dobrowolnym wysiłku i szczupłych środkach, nie mogło być tak szerokie, jak tego wymagał ówczesny stan oświaty w Polsce; niemniej jednak zaszczepiona idea oświaty dorosłych przyjmuje się. Coraz mniej słyzy się o kursach dla analfabetów, a coraz więcej o kursach i szkołach dla dorosłych. Pojęcie kursów dla analfabetów zostało wchłonięte przez szerszą koncepcję szkoły dla dorosłych i stanowiło odtąd jej wstępną część składową.

Oczywiście tak pojęte zagadnienie stawiało wyższe wymagania nauczycielowi, a jeszcze wyższe temu, kto tego nauczyciela miał instruuować i kształcić. I tu znalazło swoje uzasadnienie stworzenie działu Oświaty Dorosłych na Studium Pracy Społeczno-Oświatowej przy Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie.

Program działu Oświaty Dorosłych obejmował, poza wykładami ogólnymi, historię pracy oświatowej, metodykę nauczania dorosłych, dydaktykę pracy oświatowej, program szkoły dla dorosłych, uniwersytety ludowe i robotnicze (cele i zadania, programy, metody i formy nauczania), szkolnictwo zawodowe. Poza tym informacyjnie omawiano kursy dla dorosłych m. st. Warszawy, świetlice, Centralę Kursów dla Dorosłych.

Słuchacze zdobywali regularne praktyki i hospitacje kursów dla dorosłych, świetlic i uniwersytetów ludowych i robotniczych i składali sprawozdania na właściwych seminariach, ponadto przeprowadzali lekcje praktyczne i pokazowe na warszawskich kursach dla dorosłych.

W miarę rozwoju oświaty dorosłych wyłoniła się potrzeba wprowadzenia formy, zdolnej zaspokoić w sposób wolny od rygorów szkolnych

te potrzeby kulturalne człowieka, którym szkoła uczynić zadość nie mogła. Zagadnienie to występowało bardzo ostro zwłaszcza w odniesieniu do młodzieży opuszczającej szkołę powszechną. Dziecko w warunkach normalnych opuszczało szkołę w wieku lat 15-tu, natomiast Ustawa o Ochronie Pracy dopuszczała zatrudnienie młodocianych począwszy od ukończenia 16-go roku życia. Młodzież po opuszczeniu szkoły powszechnej miała rok kompletnej pustki, i to w bardzo niebezpiecznym okresie rozwoju psychicznego. Wy-suwno różne koncepcje dodatkowych klas doszkolających, kursów specjalizacji itp., które by zatrzymały tę młodzież jeszcze pod wpływami szkoły, chroniąc ją przed zgubnymi skutkami bezczynności i złymi wpływami ulicy. Jedną z koncepcji, mianowicie świetlica, szybko uzyskała prawo obywatelstwa na obszarze Warszawy.

Forma ta przyjęła się odrazu i w bardzo szybkim czasie spopularyzowała się w Polsce, obejmując nie tylko miasta ale i wsie. Świetlica bowiem, jako pozbawiona wszelkich rygorów szkolnych, dająca młodzieży dużą swobodę w doborze zajęć i rozrywek, wspaniale spełniała swoje zadanie przedłużania wpływu wychowawczego szkoły. Okazała się ona tak dalece atrakcyjną, że do świetlicy zaczęła się garnąć nie tylko młodzież tuż po ukończeniu szkoły powszechnej, ale i młodzież pracująca w wieku lat 18-tu, 20-tu i starsza.

Praca świetlicowa naówczas była jeszcze w powijakach; ani sama idea ani też formy pracy świetlicowej nie były ustalone. Pracownicy świetlicowi improwizowali programy i metody pracy zbierając obserwacje i doświadczenia, poznawali to nowe zagadnienie i uczyli się go. To znalazło niezwłocznie swój oddźwięk na Studium Pracy Społeczno-Oświatowej w postaci seminarium świetlicowego pod kierunkiem prof. K. Kornilowicza. Seminarium staje się swego rodzaju laboratorium, w którym słuchacze Studium — czynni pracownicy świetlic warszawskich wraz z dopraszanymi specjalistami z różnych gałęzi pracy kulturalnej próbowali ustalić zakres pracy świetlicowej i jej formy, a przede wszystkim zdefiniować pojęcie świetlicy. Świetlica bowiem w Polsce, jakkolwiek wzorowana częściowo na angielskich klubach młodzieży, była zjawiskiem zupełnie różnym. Nie dorastała tamtych pod względem technicznym, natomiast daleko przerastała je pod względem ideowym i kulturalnym, co zresztą wynikało z samych za-

łożeń świetlicy w Polsce. Miała ona dać to, czego z istoty swej nie mogła dać ani szkoła, ani żadne kursy. Zadanie jej w najszerszym pojęciu — to podnoszenie poziomu kulturalnego środowiska. Stąd płynęła różnorodność form pracy, od śpiewu i tańca, od rozrywki umysłowej i sportu, od zaspakajania potrzeb estetycznych, do budzenia głębszych zainteresowań artystycznych i głodu książki i wiedzy. Nadzwyczaj szybko rozrost ruchu świetlicowego w Polsce budził obawę splotenia lub zbytowego sformalizowania. Oświata dorosłych jednak miała już wówczas uitorowane drogi, Kuratoria szkolne miały wydziały oświaty pozaszkolnej, które należycie doceniały niebezpieczeństwo dyletantyzmu w pracy oświatowej i rozpoczęły intensywne szkolenie kierowników świetlic.

Tym razem szkolenie było już znacznie łatwiejsze, niż w początkach pionierskiej działalności Centrali Kursów dla Dorosłych. Wprowadzona przez nią koncepcja oświaty dorosłych miała już za sobą kilkuletnią tradycję; teren był już jako tako nasycony odpowiednio wykształconymi instruktorami; wreszcie w krótkim czasie ukazały się prace i podręczniki, omawiające zagadnienie świetlicy. Z roku na rok nowe szeregi

przeszkolonych oświatowców stawały do pracy, akcja oświatowa zaczęła się ugruntowywać. Liczne kursy dla dorosłych, Uniwersytety Ludowe i Robotnicze prowadziły systematyczną naukę, a obok nich w każdym niemal środowisku była świetlica, uzupełniająca tę systematyczną naukę pierwiastkami, których żadna ze szkół wnieść w środowisko nie mogła.

Zagęszczenie ośrodków oświatowych było jednak wciąż niewystarczające, zwłaszcza na wsiach i we wschodnich połaciach kraju, częściowo z braku środków, częściowo zaś wskutek oporów, jakie idea nauczania dorosłych napotykała w bardziej konserwatywnych i nie rozbudzonych jeszcze środowiskach wiejskich. Mimo to wyniki były bardzo pocieszającym sprawdzianem słuszności koncepcji oświaty dorosłych. Oto bowiem przerażająca cyfra analfabetów u progu niepodległości w niespełna dwadzieścia lat spadła do 17%. Oświatowców w Polsce czekała jednak jeszcze wielka praca, boć 17% ówczesnej ludności Rzeczypospolitej stanowiło prawie 6 milionów ludzi, a likwidacja analfabetyzmu — to dopiero podorywka pod gruntowną uprawę, którą jest podnoszenie poziomu kulturalnego całej ludności.

JAN GALIŃSKI

C Z Y T A N I E P O E Z J I

Niekażdy czytelnik szuka poezji. Wielu spośród nas zetknęło się z wierszami jedynie na ławie szkolnej, — później zaś — chyba wyjątkowo, podczas jakiejś akademii, na popisie dziecięcym lub w prasie codziennej, zamieszczającej niekiedy aktualne, wierszowane utwory satyryczne. Do tego skromnego repertuaru poetyckiego, znanego szerszemu ogółowi, dodać należy jeszcze pieśni, zazwyczaj ujęte w kształt rymowanej strofy.

Jednak jeśli nawet ktoś styka się z poezją rzadko, przyznać musi, że czerpie z niej wzruszenie niepospolite. Nie znajduje w niej zazwyczaj intrygującego wątku, ale za to ulega nieodpartej fali nastroju. Poddaje się infekcji uczuciowej, której działanie trwa długo i przechowuje się we wspomnieniach. Doznaje przeświadczenia o jakimś głębszym, bardziej bezpośrednim zetknięciu z osobowością twórczą. Prze-

żywa również takie wrażenia estetyczne, których nie daje proza powieściowa.

Dobrze — odpowie uważny czytelnik — ale wszystko to dotyczy osób, posiadających pewne wykształcenie i osobliwą umiejętność czytania poezji, do czego niekażdy jest przecież powołany. Otóż nie wydaje się, aby wątpliwości te znajdowały potwierdzenie w praktyce. Istnieje wśród czytającego ogółu pewne uprzedzenie w stosunku do poetyckiej formy wysłowienia, wskutek czego czytelnicy rzadko zwracają się do bibliotekarza o wypożyczenie zbioru wierszy. Kiedy jednak okoliczności doprowadzają do mimowolnego zetknięcia się z poezją, trafia ona do serc i znajduje wdzięcznych odbiorców. Według wiadomości z Kraju całe nasze społeczeństwo okazywało podczas ostatniej wojny wzmożone upodobanie do poezji. To samo zjawisko można było dostrzec wśród żołnierzy polskich

sił zbrojnych, witających z niesłabnącym entuzjazmem artystów, którzy recytowali utwory poetyckie

Spokojniejsze, bardziej trzeźwe lata powojenne zdają się stwarzać — przynajmniej pozornie — mniej sprzyjające warunki dla szerzenia znajomości poezji. Wszelkie teoretyzowanie na ten temat wydaje się jednak chybione. Najpierw trzeba zapytać, czy ze strony twórców i wykonawców czyni się wszystko, co należy, aby zobojętnienie przełamać. Byłoby rzeczą ciekawą zasięgnięcie w tej sprawie opinii nauczycielstwa, mającego stałą łączność z młodym pokoleniem. Wiadomości, jakie udało się na razie zebrać, wskazują na niezmierny zapał młodzieży dla poezji; zmieniają się co najwyżej nazwiska poetów najbardziej ulubionych, — zdaje się, że w przeciwieństwie do okresu Młodej Polski Mickiewicz uzyskuje pierwszeństwo nad Słowackim.

Co czytać?

Wiele zależy od wyboru właściwych autorów i stosownych utworów. To, że publiczność słabo reaguje na jakąś recytację, nie przesądza o jej niechęci do poezji w ogólności. Jednorazowe potknięcie się nie upoważnia do rezygnacji, zanim się nie zna jego właściwej przyczyny. Poezja jest instrumentem delikatnym i odbiór jej zależy od tego, czy wśród czytelników i słuchaczy znajdują się ukryte struny, drgające właściwym oddźwiękiem.

Wybór stosownych tekstów poetyckich ma ogromne znaczenie. Ktoś, komu nie odpowiadają utwory poetów współczesnych, może zachwycać się dziełami, związanymi z romantyzmem lub Młodą Polską. Zdarza się na odwrót, że osoby, które zniechęciły się na ławie szkolnej do mowy wiązanej, zaczynają odkrywać samodzielnie jej urok i piękno w zetknięciu z tomikiem poezji współczesnej. Jednych pociąga w poezji głównie strona uczuciowa; inni cenią w niej przede wszystkim podkład refleksyjny. Dla jednych wszelka czułość jest czynnikiem nieznośnym; inni nie zrażają się nią bynajmniej, zdając się znajdować szczególne upodobanie w tkliwości, wywołującej wzruszenie i wyciskającej z oczu łzy. Zdarza się, że czytelnik ceni najwyższą prostotę, naturalną bezpretensjonalność, tok wolny od wszelkiej ornamentacji; innych wabi ku poezji umiejętność pokonywania niezwykłych trudności (np. przy rymowaniu i wiązaniu wierszy w strofy), akrobatyczna żongler-

ka słowna. Jednym przypada do smaku jasność, uwalniająca od wysiłku przy śledzeniu wątku poetyckiego; inni cenią radość, jaką sprawia odcyfrowywanie myśli ukrytej, przedzierającej się jakby z trudem z gęstwiny słownej, aby po wydobyciu na światło dzienne zabłysnąć tym okazalszym blaskiem.

Któremu z tych upodobań przyznać należy pierwszeństwo? Nie podobna ustalić jakichkolwiek reguł ani potępiać kogoś, czyj sposób odczywania odbiega od naszej własnej reakcji. W zakresie spraw estetycznych obowiązuje swoboda w stopniu jeszcze większym, niż w codziennym współżyciu społecznym. Proces wychowania estetycznego jest oczywiście możliwy, a nawet pożądany, nie powinien jednak przybierać postaci jakiegoś przymusu, zwłaszcza w ramach czasów i wycieczek.

Na szczęście nasza poezja rodzima jest tak bogata, że każdy znajdzie w niej coś, co wzbudzi zachwyt i trafi do serca. Kto pragnie naiwnego wdzięku, ten sięgnie po tomik Lenartowicza czy Konopnickiej. Kogo pociąga potęga myśli i skondensowana wybuchowość ukrytych emocji, ten woli zajrzeć do liryk Mickiewicza i Norwida. Jeżeli szukamy błyskotliwego opisu słownego, efektów dźwiękowych i obrazowych, znajdziemy je u Słowackiego i Tuwima, Tetmajera i Gałczyńskiego. Gdy na miejscu naczelnym stawiamy powagę skupienia myślowego, zamkniętą w spokojne, opanowane strofy, warto zawrzeć bliższą znajomość z Asnykiem. Komu przemawia do przekonania pesymizm zabarwiony smutkiem i goryczą, niech się rozczytuje w „Marii“ Malczewskiego. Jeżeli cenimy w poezji pogodę, radość, śmiech, swawolę, rozbawienie, skusi nas Aleksander Fredro, Mickiewiczowski „Pan Tadeusz“, młodzieńcze wiersze Wierzyńskiego.

Cóż mówić o legionie poetów nie wymienionych, którzy weszli do dziejów naszego piśmiennictwa dzięki temu, że zdołali utrwalić w niej własną, odrębną osobowość twórczą? Gama różnic, odmian, rozbieżności, powiązań, odcieni jest tak szeroka, że każdy wydobędzie z niej upragnioną melodię, byle zechciał potrafić właściwe klawisze.

A poza tym literatura nasza żyje i głosem poetów współczesnych wzbogaca się nieustannie nową zawartością i świeżymi środkami wyrazu. Nie zapominajmy wreszcie o samorodnej, wprost z rodzimego gruntu tryskającej poezji ludowej,

udostępnionej ogółowi dzięki pracowitej skrętności uczonych zbieraczy. Stanowi ona skarbiec, którego wartość potwierdzają nie tylko głosy znawców, ale i nieustanne oddziaływanie na piśmiennictwo warstwy wykształconej.

Czytanie głośne...

Jakiegokolwiek autora wybierzemy, musimy nauczyć się obcować z nim w taki sposób, aby wydobyć stąd jak najwięcej satysfakcji. Warto pamiętać o tym, że wynik poetyckiego wysiłku twórczego jest odmienny nieco od tego, jaki zamyka się w prozie. Liczy się nie tylko zawartość myślowa i obrazowa, nie tylko ładunek wzruszenia, ale także brzmienie.

Byłoby błędem przypuszczać, że strona dźwiękowa nie odgrywa roli w zwykłym, nie wierszowym tekście. Czytając np. artykuł dziennikarski, ubocznie zwracamy uwagę na to, czy zdania brzmią przyjemnie; zwłaszcza jeśli przypadkiem wypada coś przeczytać na głos, efektowne brzmienie rozstrzyga niekiedy o reakcji słuchacza zabijając jego czujność intelektualną. Niemniej w zasadzie na miejscu naczelnym stawiamy inne czynniki.

Natomiast w poezji przypada brzmieniom funkcja tak doniosła, że w pewnych przypadkach można doznawać przyjemności słuchania nawet nie rozumiejąc znaczenia. Co więcej, nieraz odgadnąć można nastrój, jaki autor zamierzał wyrazić, kierując się wyłącznie wrażeniami słuchowymi.

Nie należy oczywiście przesadzać. Opowiadano o słynnej aktorce polskiej Helenie Modrzejewskiej, że wprawiała cudzoziemskie audytorium w zachwyt recytując z głębokim uczuciem nazwy liczb. Przez nadanie głosowi stosownej barwy można narzucić tekstowi nastrój, obcy zupełnie jego treści. Jeżeli jednak wyłączymy przypadki umyślnego naśladownictwa, okaże się, że każdemu wybitnemu utworowi towarzyszy jakieś swoiste dla niego zabarwienie muzyczne, jakaś melodia, trudna do określenia, a jednak dająca się wyczuć bez trudu.

Dla przykładu wystarczy porównać „Marię“ Malczewskiego i „Pana Tadeusza“ Mickiewicza. Oba utwory napisane zostały wierszem trzynastozgłoskowym i nie różnią się wyraźnie pod względem rytmicznym, — a jednak słuchacz rozpoznaje od razu, do jakiego poematu należą odczytane fragmenty, choćby nie pamiętał, skąd zostały zaczerpnięte.

Ciekawe uwagi na temat dźwięczności poezji Mickiewiczowskiej pozostawił Słowacki. W artykule, poświęconym jednemu z utworów Zaleskiego, wyraził zachwyt dla wiersza „Pana Tadeusza“ popierając swoje wywody lakoniczną cytata:

Biorąc z fartuszka garście zaklętego złota.

Zdaniem Słowackiego, gdyby tę samą myśl chciał wyrazić Zaleski, nadałby jej mniej więcej taką postać:

Biorąc z fartuszka — och! dwie garstki złota.

Zmiany są pozornie drobne, w istocie jednak zniekształcają one całkowicie pełną, bogatą melodię tekstu Mickiewiczowskiego i pozbawiają go dostojnej, naturalnej powagi. Muzykalność utworu poetyckiego jest czuła na wszelkie przeobrażenia wyrazowe i niekiedy znika przy zupełnie na pozór drobnej przeróbce.

Niezależnie od tego spotykamy w poezji ustępy, w których specjalnie wydatna rola przypada w udziale naśladownictwu dźwiękowemu. Sięgnijmy np. do wierszy początkowych sonetu Mickiewicza „Burza“:

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze
jęki...

Nawet bez bliższego rozbioru widać wyraźny wysiłek, zmierzający do odtworzenia przez dobór stosownych wyrazów tego natłoku dźwiękowego, jaki towarzyszy burzy na morzu. Stąd pojawiło się kilka wyrazistych słów jednozłogowych (ster, ryk, szum, pomp); stąd powróciła kilkakrotnie charakterystyczna spółgłoska „r“ (zdarto, ster, prysnął, ryk, trwożnej, gromady); stąd zagęszczenie świszczących, szczelinowych spółgłosek przedniojęzykowych, wargowych, dźwiękowych (z, ż, s, w, sz, cz) i wprowadzenie do rymu samogłoski nosowej „e“; stąd wreszcie komplikacje rytmiczne w wierszu czołowym, kontrastujące ze spokojniejszym tokiem wiersza następnego.

W przypadku sonetu Mickiewiczowskiego efekty dźwiękonaśladowcze są oczywiste i nierzadko się z nieprzepartą stanowczością tak czytelnikom, jak i recytatorom. Zdarza się czasem, że naśladownictwo dźwiękowe jest bardziej dyskretne, spokojniejsze, mniej dynamiczne, — ale dopiero wydobyć go na jaw odsłania w

pełni prawdziwą wartość artystyczną tekstu. W „Balladynie“ Słowackiego Wdowa otwiera scenę trzecią aktu pierwszego tymi słowami:

Zakończony dzień pracy, moja Balladyno,
Twoje rączki od słońca całe się rozplyną
Jak lodu kryształiki...

Można prześlizgnąć się nad tymi wierszami nie zwracając uwagi na ich brzmienie, tym bardziej, że ma je wypowiedzieć jedna z osób dramatu. Byłoby to jednak z niewątpliwą krzywdą dla poety. Nie darmo zasygnalizował finał dnia powtarzając charakterystyczną spółgłoskę „ń“, która kojarzy się z dzwonieniem (zakończony, dzień, słońce). Jeszcze ciekawsze jest subtelne oddanie za pomocą gry dźwiękowej stopniowego topnienia lodu: wiersz drugi daje przewagę spółgłoskom „r“ i „l“ (rączki, słońca, całe, rozplyną), natomiast w wierszu trzecim zjawia się na to miejsce spółgłoska „l“ w towarzystwie odosobnionego „r“, jak gdyby nawiązującego po raz ostatni do twardej konsystencji lodowej (lodu, kryształiki).

Przykłady tego rodzaju można by mnożyć bez końca. Dostarcza ich w obfitości poezja najnowsza, często wykazująca wielką wrażliwość na brzmienie wyrazowe i związane z nim efekty artystyczne. Wiele możliwości dla wrażliwego recytatora stwarza poezja Juliana Tuwima, Kazimierza Wierzyńskiego, Stanisława Balińskiego, Władysława Broniewskiego i innych wybitnych poetów.

Nawet jeżeli wiersz nie zdradza intencji celowego wyzyskania składników dźwiękowych, spełniają one twórcze, konstrukcyjne zadanie. W pomoc przychodzi falowanie rytmiki, tak

trudne do uchwycenia w drodze rozumowej, a tak ważne przy wytwarzaniu nastroju. Chodzi nie tylko o wymianę zgłosek akcentowych i nieakcentowych, ale i różne delikatne odcienie, powstające wskutek występowania różnych zahamowań i pauz dodatkowych: przy zamykaniu zdań, znakach przestankowych itp. Działanie poprzez rytm jest tym potężniejsze, że nie poddaje się wyraźnej kontroli. Przenika ono do podświadomości czytelnika i słuchacza stwarzając tło nastrojowe, na którym układają się wszystkie inne elementy poetyckie.

Aby te wszystkie zjawiska twórczości poetyckiej nabrały właściwego wyrazu, należy utwór odczytywać głośno. Czynimy to instynktownie ucząc się na pamięć wierszy, które najbardziej się nam podobają, i ciesząc się ich recytowaniem. Praktyka ta ma za sobą dostojną, prawną tradycję, wiadomo bowiem, że poezja istniała i rozwijała się przed zastosowaniem środków dla jej pisemnego utrwalenia, wędrując po świecie razem z wędrownymi bardami, wajdelotami, pieśniarzami i minstrelami, którzy przechowywali utwory w pamięci i przekazywali je otoczeniu poprzez śpiew lub recytację.

W Anglii zauważyć można ciekawe zjawisko odradzania się literatury poprzez recytację. Jeden z wybitnych aktorów (Emlyn Williams) zdobył wielkie powodzenie występując z recytacją dzieł literackich, najpierw powieściopisarza Karola Dickensa, a ostatnio poety Dylana Thomasa. Oba rodzaje występów mają swoje uzasadnienie artystyczne, ale poezja ma niewątpliwie więcej do zyskania. Warto tej drogi — na większą lub mniejszą skalę — spróbować tak w życiu osobistym i rodzinnym, jak i w pracy oświatowej.

ANNA BOGUSŁAWSKA

BIBLIOTEKI WIEJSKIE I PROWINCJONALNE W STANACH ZJEDNOCZONYCH AMERYKI

Przekonanie, że każdy ma prawo do odpowiedniej książki i właściwie prowadzonej biblioteki, nie jest bynajmniej nowością. Głosili je bibliotekarze i oświatowcy w drugiej połowie 19 stulecia i można wskazać, jak w owych czasach czyniono pierwsze wysiłki, aby doprowadzić komplety książek do najbardziej zapadłych i odcię-

tych od świata zakątków. Jednakże trudności komunikacyjne, zły stan dróg, czynniki ekonomiczne i inne względy sprawiły, że w pierwszych dziesiętnościach 19 stulecia ruch bibliotekarski rozwijał się raczej w kierunku zapewnienia bibliotek publicznych ludności miejskiej. Ludność więc małych ośrodków prowincjonalnych była wyraźnie

pokrzywdzona, nawet w krajach o tak rozwiniętym ruchu bibliotecznym, jak Anglia lub Stany Zjednoczone Ameryki.

Dopiero ostatnie dwudziestopięćdziesiąt lat zmieniło to nastawienie. W USA ruch tworzenia bibliotek regionalnych i okręgowych przybrał takie nasilenie, że Amerykański Związek Bibliotekarzy (American Library Association) uznał za wskazane wydanie książki, sumującej zdobyte już doświadczenia i będącej zarazem podręcznikiem praktycznym dla bibliotekarzy i organizatorów bibliotek na nowych terenach prowincjonalnych. Tak więc książka Gretchen Schenk *) jest wyrazem nastawienia oficjalnego i pewnej mierze sprawozdaniem z tego, co na gruncie amerykańskim dla zaopatrzenia prowincji w książkę biblioteczną zostało już dokonane.

Nie wszystko oczywiście z tego, o czym pisze G. Schenk, może znaleźć zastosowanie na gruncie europejskim. Bardzo swoiście amerykański jest np. rozdział o poprzedzającej organizację sieci bibliotek agitacji i propagandzie, których celem jest zachęcenie władz samorządowych do uchwalenia odpowiednich funduszy i podatków na rzecz powstających bibliotek. Ogólne nastawienie jednak jest bliskie tego, czego uczono bibliotekarza polskiego przed wojną. Wszędzie podkreśla się konieczność poznania środowiska i dostosowania organizacji bibliotecznej do jego warunków i potrzeb. Tak samo jak Helena Radlińska w „Książce wśród ludzi“, zaleca Gretchen Schenk zbadanie, przed przystąpieniem do zorganizowania sieci bibliotecznej, jakie biblioteki na danym obszarze już istnieją, jaki typ szkół przeważa, czy istnieje duży procent ludzi o wyższym i średnim wykształceniu, czym się ludność trudni, jakie istnieją grupy narodowościowe, jaki jest stopień zamożności itd. Dla ustalenia najodpowiedniejszego typu obsługi bibliotecznej i najlepszego rozmieszczenia punktów bibliotecznych trzeba rozporządzać mapą gęstości zaludnienia. Należy wejść w kontakt z organizacjami i bardziej aktywnym elementem ludzkim, bo to umożliwi znalezienie chętnych do współpracy, a równocześnie wskaże, gdzie komplety książek można zostawić w depozycie i jakim istniejącym już placówkom może bibliotekarz przyjść z pomocą. Tyle, że gdy na ziemiach polskich poczynania były skromne, fundusze przeważnie znikome, a całe zadanie spoczywało na barkach jednego lub najwyżej kilku działaczy, w Ameryce uderza wielki rozmach i szeroka skala działania.

Specjalny rozdział w książce Gretchen Schenk ustala, omawiając pozycję po pozycji, jakie musi być minimum zapewnionych funduszy, z którymi można przystąpić do organizacji dobrze funkcjonującej biblioteki. W wielu Stanach biblioteka zaprasza zastęp miejscowych socjologów do współpracy w badaniu środowiska. Biblioteka zatrudnia przygotowanych fachowo bibliotekarzy, sekretarzy i urzędników. Bibliotekarzy zazwyczaj się jeszcze przeszkala dla wprowadzenia ich w zagadnienia, związane z biblioteką regionalną. Powstaje rada biblioteczna, w skład której wchodzi najwybitniejsze jednostki miejscowe.

Koncepcją amerykańską jest obsługiwanie czytelnika za pośrednictwem sieci drobnych placówek, posiadających jedną, wspólną centralę o wielkim zasobie książek i dużej sile finansowej i organizacyjnej. Tylko przy organizacji tego typu, zdaniem autorki, czytelnik z prowincji może mieć zapewniony dostateczny dopływ książki i fachową obsługę. Ten system zapewnia również najbardziej ekonomiczne zużytkowanie funduszy, jakimi organizacja biblioteczna rozporządza.

O ile bowiem obsługa czytelnika powinna być najbliższa jego miejsca zamieszkania, pracy czy nauki, a jego zetknięcie z fachowym bibliotekarzem w miarę możliwości bezpośrednio, o tyle z drugiej strony dużą liczbę czynności przygotowawczych, związanych z administracją i techniką biblioteczną, można wykonać lepiej i z najmniejszym nakładem kosztów centralnie. Należy tu wymienić katalogowanie, sporządzanie kart czytelniczych, kupowanie, oprawę i reperację książek, drukowanie afiszów, małych i większych spisów bibliograficznych, katalogów centralnych, przygotowanie okolicznościowych wystaw książek itd. Do funkcji centrali należy również organizowanie konferencji, planowanie budżetu, zatrudnianie i doksztalcanie personelu i kierowanie propagandą biblioteki i czytelnictwa wśród społeczeństwa.

W świetle doświadczeń amerykańskich jest marnotrawstwem dublowanie tych prac przez różne instytucje i dlatego często wcześniej założone mniejsze biblioteki dołączają się do centrali na podstawie kontraktu. Zdarza się również, że okręg wiejski, pragnący zorganizować sieć biblioteczną na swym terenie, zwraca się do już istniejącej biblioteki miejskiej z propozycją powierzenia jej tego zadania. W tym przypadku

zawiera się również umowę pisemną czyli kontrakt i rada biblioteczna kooptuje członków z nowych miejscowości.

Fundusze na organizację biblioteczną powinny płynąć, według autorki, zarówno od czynników samorządowych, jak i od władz centralnych. Te ostatnie wyrównują niedobory, wynikające z różnic zamożności poszczególnych okolic.

Księgozbiór biblioteki centralnej jest traktowany jako wspólna własność, z której każdy użytkownik może korzystać. Czytelnik z najbardziej zapadłego kąta ma dostęp do katalogu centralnego, uwzględniającego wszystkie książki posiadane przez bibliotekę, i może zamówić każde z interesujących go wydawnictw. Żadna biblioteka, podlegająca centrali, nie posiada książek „własnych“, lecz korzysta ze zmiennego i płynnego księgozbioru ogólnego.

Różne bywają typy punktów bibliotecznych zorganizowanych przez centralę. Autorka podaje dla przykładu typy istniejące w stanie Missisipi w roku 1950:

1) Oddziały biblioteczne, obsługujące środowiska liczące ponad 2.500 ludności, z czytelnią otwartą co najmniej 35 godzin tygodniowo i jednym dobrze przygotowanym bibliotekarzem. Księgozbiór jest odświeżany w miarę potrzeby.

2) Pododdziały, obsługujące ośrodki od 2.500 do 1000 ludności. Czynne co najmniej 25 godzin tygodniowo. Książki są regularnie wymieniane przez centralę.

3) Stacje, obsługujące ośrodki liczące 500 do 1000 osób. Komplet książki są wymieniane regularnie. Stacja nie posiada często nawet własnego pokoju, a tylko szafę czy „kącik“ w przygodnym pomieszczeniu. Wypożycza książki najodpowiedniejsza osoba, jaką na miejscu można znaleźć.

4) Podróżujące auta-biblioteki, które obsługują ośrodki liczące do 500 osób. Obsługa – dwa razy tygodniowo. Wypożycza książki fachowy bibliotekarz. W samochodzie mieści się 2000 – 3000 książek.

Centrale stawiają sobie również za zadanie dostarczanie kompletów książek i pomocy słuchowo-wzrokowej szkołom obsługiwanych miejscowości i instytucjom miejscowym, a więc klubom, związkom zawodowym, szpitalom, a nawet parafiom i sektom religijnym. Ich zadaniem jest wysłanie odrębnych grup narodowościowych i

wystaranie się dla nich o lekturę w ich języku macierzystym. Gretchen Schenk wyraża żal, że w Ameryce istnieje zbyt mało wydawnictw w językach środkowej i wschodniej Europy, aby zaspokoić potrzeby emigracji, napływającej stamtąd świeżo do Ameryki.

Książka omawia szczegółowo organizację centrali i różnego typu punktów bibliotecznych. W rozdziale o organizacji centrali autorka analizuje jej zadania i w związku z tym wymienia cechy, które winny wyróżniać jej kierownika. Dalej mówi o wyborze personelu, o zakupie książek, o wymaganiach, jakim powinien odpowiadać budynek. Znajduje się tam m. in. rozdział o urządzeniu pakowni z bardzo użytecznymi wskazówkami praktycznymi:

„... ponieważ jest to miejsce, przez które przepływają co roku tomy książek i innych materiałów bibliotecznych, powinno być umiejscowione centralnie, w najłatwiej dostępnej części budynku.

... Równie ważne jest wewnętrzne urządzenie pakowni. Łatwy dostęp do papieru i sznurka, przygotowane z góry opakowania oraz załadowane i puste wózki na książki wydatnie zwiększają szybkość i podnoszą jakość pracy“.

Przy omawianiu oddziałów bibliotecznych autorka poświęca wiele miejsca sprawie budynku. M.in. porusza ona kwestię, czy budynki szkolne są odpowiednie dla ulokowania w nich oddziału lub stacji, i uzasadnia swój pogląd, że na ogół nie jest to wskazane.

O bibliotekach-autobusach pisze:

„Głównymi zaletami bibliotek-autobusów jest lepsze wyzyskanie zbioru książek oraz możliwość zatrudnienia bibliotekarzy o pełnym wykształceniu fachowym. Pokażna ilość książek jest potrzebna dla zasilenia kompletami wielu małych stacji bibliotecznych. Gdzie stacje są nieczynne przez większą część tygodnia, książki są na ten okres unieruchomione. Książki przenośnej biblioteki-autobusu mogą służyć większej ilości czytelników przy mniejszej ilości tomów...“

Natomiast „... ograniczenie czasu jest uważane za jedną z najważniejszych stron ujemnych. Ludzie mogą wypożyczać książki często tylko raz na dwa lub trzy tygodnie i godziny przyjazdu biblioteki nie są nigdy dogodnie dla wszystkich“. Również pogoda i stan dróg mogą wpływać niekorzystnie na obsługę tego typu.

Biblioteki-autobusy są kosztowniejszym typem obsługi niż stacje.

Bibliotekę ruchome w polskim znaczeniu tego słowa, tj. komplety książek pozostawione na pewien okres stacjom i pododdziałom i wymieniane regularnie, górują nad bibliotekami-autobusami, o ile mają szczęśliwie wybrany lokal, odpowiedniego bibliotekarza i dostateczną ilość godzin wypożyczeń. W tym przypadku stają się często ośrodkiem zainteresowania społeczeństwa. Niestety w małych miejscowościach trudno jest często o odpowiednią osobę dla pełnienia funkcji bibliotekarza, a w każdym razie nie ma mowy o

kimś przygotowanym fachowo, bo zajęcie w bibliotece musi być traktowane jako praca poboczna.

Trudno wymienić wszystkie poruszone w książce zagadnienia i problemy, bo jest ich zbyt wiele. Podejście do nich jest praktyczne i życiowe. Autorka daje wiele szczegółowych, drobnych wskazań, nadzwyczaj cennych dla praktyka. Chociaż nasze, emigracyjne życie biblioteczne wydaje się tak bardzo odmienne od stosunków amerykańskich, sumienny bibliotekarz znajdzie w omawianej książce niejedną pobudkę do refleksji i do praktycznego rozwiązania własnych problemów.

M. T.

STUDIA WYŻSZE NA EMIGRACJI

I

Polski Uniwersytet na Obczyźnie czynny jest od lat czterech.

Struktura uniwersytetu odpowiada w granicach możliwości organizacji naszych przedwojennych szkół akademickich.

W dniu 15 grudnia 1952 dekret Prezydenta R.P. nadał uniwersytetowi pełne prawa państwowych szkół akademickich w rozumieniu ustawy z dnia 15 marca 1953 r.

Uniwersytet posiada pełny wydział humanistyczny, oraz Komisję Wydziałowe prawa, ekonomii i nauk przyrodniczo-matematycznych, które mają uprawnienia odpowiednich wydziałów uniwersyteckich.

Uczelnia skupia 36 przedwojennych profesorów, zastępców profesorów i docentów.

Nauczanie odbywa się bezpośrednio i korespondencyjnie.

Uniwersytet zwraca specjalnie baczność uwagę na przygotowanie nowych kadr naukowych. Na wydziale humanistycznym habilitowały się 4 osoby. W Komisji prawniczej w przygotowaniu są 2 habilitacje, a w Komisji przyrodniczo-matematycznej — jedna.

System studiów korespondencyjnych, oparty o oryginalne wykłady profesorów, jest połączony ze specjalnym systemem pytań repetycyjnych, prac zleconych, kolokwii i egzaminów pisemnych.

Organizacja uczelni jest tak pomyślana, żeby mogła spełnić zadanie nauczania w całym świecie. PUNO czyni wysiłki, aby dotrzeć do tych

Polaków, którzy pragną pogłębić swoją wiedzę w zakresie historii, polonistyki, polskiej myśli prawniczej czy ekonomicznej. Wiedzy w tym zakresie nie dają uniwersytety czy też uczelnie obce. Praca PUNO jest dostosowana do ciężkich warunków życiowych studentów i naukowców, umożliwi im jednak normalne studia wyższe, niejednokrotnie niedostępne na obcych uczelniach ze względu na trudności finansowe czy językowe.

Uniwersytet wydaje skrypty i książki naukowe, które stanowią już poważny wkład w naukę polską, a nawet obcą. Wydawnictwa te są bezwzględnie koniecznością, przyczyniają się bowiem do utrwalenia powagi szkoły.

II

Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych kończy siódmy rok swej działalności, jako prywatna szkoła akademicka, mająca prawo nadawania stopni naukowych kandydata i magistra, i jako instytucja o wyrobionych sposobach działania. Cele jej pozostają te same: nauczanie bezpośrednie i korespondencyjne na poziomie wyższego zakładu naukowego, zaznajamianie przebywających w wolnym świecie Polaków z przeobrażeniami politycznymi, społecznymi i gospodarczymi, zachodzącymi tak szybko i w tak wielu dziedzinach we współczesnej dobie, oraz przygotowanie ich do działalności publicznej.

Poprzednie wysiłki doprowadziły do wydania zasadniczych skryptów ze wszystkich niemal przedmiotów, objętych programem studiów.

Szkoła może więc poświęcić się w całości zagadnieniom aktualnym i okresowi 1939-1954.

Organizacja nauczania zmierza do tego, by studenci mogli pracować z jak najmniejszym obciążeniem, a najlepszym wynikiem dla siebie. Przewiduje się zatem nawet w uczelni londyńskiej możliwość zaznajamiania się z wymaganym materiałem w przeważnej części ze skryptów: wykłady mają tylko uzupełnić je i zaktualizować. W ten sposób słuchacze unikają częstych i długich przejazdów i będą mogli wyzyskiwać na naukę czas w różnych porach dnia. Wykonane prace i ćwiczenia, wysłuchane wykłady, odbyte egzaminy — zalicza się studentom niezależnie od terminów. Mogą zatem kończyć dwuletnie studia podstawowe i trzeci rok, przeznaczony na specjalizację, w okresach i terminach dłuższych lub krótszych lub nawet z przerwami — zależnie od tego, jak układają się ich warunki życia i pracy zarobkowej. Studiujący posiadają poza tym — tak jak dotychczas — pełną swobodę decyzji i mogą ograniczyć się tylko do wybranych przedmiotów lub ich grup. Zarówno w uczelni londyńskiej, jak i na kursie korespondencyjnym możliwe są studia wolne.

Skrypty i wydawnictwa SNPS można otrzymać na warunkach zwykłego abonamentu. Kandydatom, nie mającym pełnego wykształcenia średniego, Szkoła może ułatwić, również drogą korespondencyjną, jego uzupełnienie w toku rozpoczętych studiów w SNPS. Studia w Szkole mogą być rozłożone na kilka etapów. Po roku studiów można uzyskać częściowe świadectwo studiów wyższych. Po dwu latach — dyplom kandydata nauk politycznych i społecznych. Po trzech — dyplom SNPS. Po czterech — dyplom magisterski.

W miarę upływu czasu kurs korespondencyjny wysuwa się w działalności Szkoły na miejsce coraz bardziej czołowe. W uczelni londyńskiej studiowało około 300 słuchaczy; liczba studentów korespondencyjnych wyniosła w sumie 700. Nadesłali oni blisko 900 prac zleconych i seminaryjnych. Celem przeprowadzenia egzaminów pisemnych na miejscu i pod odpowiednią kontrolą trzeba było uruchomić 12 lokalnych komisji w różnych miejscowościach w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Francji, Belgii, Niemczech i Australii. Już z tego widać, że odległość nie jest żadną przeszkodą w prowadzeniu studiów. Toteż nie ma kraju w wolnym świecie, w którym SNPS nie miałaby swych studentów i abonentów.

Podstawą nauki korespondencyjnej są skrypty, będące wynikiem odbytej w Londynie około 2.000 wykładów i ćwiczeń. Wydano dotąd 4.500 stron tekstu skryptów dużego formatu, co równa się ponad 7.000 stron drugu książkowego. Tworzą one kilkanaście podręczników zasadniczych, nadto zaś obejmują monograficzne zadania w osobnych zeszytach. Skrypty opracowane przez najlepszych znawców przedmiotu, dotyczą historii nowoczesnej, prawa międzynarodowego i politycznego, głównych zagadnień ekonomii, współczesnych problemów społecznych oraz idei i ruchów politycznych i społecznych. Ważne działy skryptów poświęcono Polsce współczesnej, Rosji sowieckiej, Niemcom oraz krajom środkowo-wschodniej Europy. Projektowane nowe wydawnictwa obejmą przede wszystkim studium okresu najnowszego, lata 1945-1954.

Studia korespondencyjne są w pełni zrównane ze studiami prowadzonymi w uczelni londyńskiej, gdyż opierają się na tych samych wykładach, kierowanych przez tych samych profesorów, a wymagania egzaminacyjne są te same.

III

W ramach studiów wyższych, zorganizowanych przez naszą emigrację, brakowało dotychczas zakładu kształcenia nauczycieli. Ostatnie wyższe kursy nauczycielskie w Londynie dobiegły końca przed ośmiu z górą laty; później odbywały się jedynie wykłady przygodne, pozbawione programowej systematyczności. Ponieważ kadry nauczycielskie szczupłeją, a potrzeby oświatowe emigracji polskiej raczej wzrastają, stworzenie jakiegoś ośrodka wiedzy pedagogicznej stało się oczywistą koniecznością.

Możemy już zasygnalizować powołanie do życia Studium Pedagogicznego przy Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie. Został on zaprojektowany w taki sposób, że umożliwiałoby zdobywanie pełnych kwalifikacji pedagogicznych osobom, uzyskującym dyplomy uniwersyteckie, zarazem jednak otwiera możliwości dokończania się zarówno kwalifikowanym nauczycielom, jak i osobom, które zajęły się nauczaniem pod wpływem społecznego nakazu chwili.

W najbliższym numerze „Poradnika“ znajdzie się szczegółowy komunikat Studium Pedagogicznego, określający bliżej jego organizację oraz warunki przyjęcia słuchaczy oraz studentów, pragnących odbywać studia w drodze korespondencyjnej.

WIECZORNICE

materiały i pomoce

JÓZEF KORZENIOWSKI

W A S Y I P E R U K A

AKT II.

Pokój w mieszkaniu Wojewodzica. Drzwi wchodowe z lewej strony, drzwi do sypialni Wojewodzica z prawej — pod środkową ścianą wielki stół, kilka krzeseł, a w kącie z prawej strony wielkie zwierciadło.

Scena I.

MACIEJ, później BRZECHWA.

MACIEJ *(złożywszy na stole kontusz, odnosi go na prawo do sypialni pańskiej i zaraz wraca)*.

Już jeżeli z tego, com mu tam przygotował, nie będzie kontent, to chyba, że się świat do góry nogami przewrócił. Żupan karmazynowy z najprzedniejszego atlasu, kontusz z sajety turkusowy, także karmazynowym atlasem podobity, pas słucki złocisty, na czerwonym tle, czapka biała z kasztanową smużką, karabela ojcowiska na złotym pendencie. Czegoż chcesz? *(Kręcąc palcem)*. Ale to jemu dziś, coś... Pan Bóg wie! *(Wchodzi Brzechwa)*.

BRZECHWA *(kładzie czapkę, siada i strzepuje chustką buty)*.

Och! Schodziłem się mosanie, jak szewc z butami, a pa-na nie ma?

MACIEJ: A jużci nie ma.

BRZECHWA: Czego żeś się waść tak nachmurzył, panie Macieju?

MACIEJ: At, zachciałeś jegomość! Każdy ma swego moła, a dopieroż szatny, który gorzej boi się molów jak Tatarów.

BRZECHWA: A przygotowałeś waszeć suknie dla pana na ten obiad do Starościny?

MACIEJ: A jużci, tam w sypialni pańskiej leży każda rzecz na swoim miejscu. Nie wiem tylko, czy to, com wybrał, podoba się jaśnie wielmożnemu panu.

BRZECHWA: Czemużby nie? Jużci na waści gust, panie Macieju, spuścić się można. Umiesz dobrać i pięknie i bogato.

MACIEJ *(z ukontentowaniem гладząc czuprynę)*.

Zdaje się. Tyleż lat koło tego chodzę.

BRZECHWA *(wstaje)*. Zawsze jednak należało spytać

się pana Wojewodzica. Może by sam co zadysponował. Dzięki Bogu, jest w czym wybrać.

MACIEJ *(Machnąwszy ręką)*. Pytałem — ale cóż! Jaśnie wielmożny pan nie odpowiadał, jakby mu było wszystko jedno. Ot, powiem jegomości, że się tu coś złego święci. Nasz pan jakiś chmurny, chodził tu długo wokóło kręcąc wąsa, poglądał ustawicznie w zwierciadło, jakby siebie nigdy nie widział, a gdym mu wspomniał o sukniach, wziął czapkę, nacisnął ją na ucho i poszedł na mias-to. Ażem się przeląkł, czym go czym nie rozgniewał.

BRZECHWA: Już i ja to uważałem, że wczoraj od tej Starościny wrócił jakiś nieswój. Musi mu być, mosanie, tak jak i mnie. Czy wiesz waszeć, panie Macieju, żebych chciał stąd ptakiem wylecieć, tak mi tu jakoś źle i nieraź-no. Krzepię się, jak mogę, żartuję sobie z tego, co widzę, ale czasem to mi jakoś słono w oczach się robi i tu coś gorzkiego się rozlewa.

MACIEJ: Powiem jegomości, że i mnie tu coś tak, jak gdyby kamień młyński leżał na sercu. Od kiedyśmy tu przyjechali, jeszcze ani jednej nocy poczciwie nie spał. A ot, tej ostatniej najgorzej, takie mary dręczyły mnie ustawicznie. Najpierw przyśniło mi się, że jakiś Niemiec wpadł do garderoby i patrząc na suknie pańskie brał się za boki i drwił z każdej rzeczy.

BRZECHWA: Było wyrzucić szoldrę, mosanie.

MACIEJ: Ja też porwałem się do niego jak oparzony i obudziłem się, a przeżegnawszy się i zmówiwszy Pod Twoją Obronę znowu zasnąłem. Ale już widać jakaś kara boska czeka nas za nasze grzechy. Uważ tylko jegomość. Zdało mi się znowu, że przewietrzyła garderobę pańską, jak się to u nas dwa razy do roku robi. Przy-rządziłem wszystko, jak należy, wybrałem dzień piękny i pogodny, porozwieszałem osobno bogate futra pańskie, kosztowne żupany, piękne kontusze, lite pasy, słowem, każdą rzecz w takim porządku, że się dusza radowała. Aż tu patrz: ni stąd ni zowąd chmura. Przyglądam się jej, czy nie deszczowa, i gotuję się wszystko sprzątać, kiedy nagle na moje szaty zaczęło się sypać coś brudnego, niby śnieg, niby mąka. Wtedy ja dawaj strzepywać! Nic nie pomaga, coraz więcej, że aż biało. Nuż ja zbierać jedno po drugim. Ale co porwę żupan, aż tu jakaś kusa kamizelka bez rękawów, co chwycę jaki kontusz, aż tu z niego kurtka z ogonkiem z tyłu, jak u sroki. Załamałem

ręce i zbudziłem się, a zimny pot oblewał moje czoło i piersi. O! wierzej jegomości, jak żyję, nie byłem w takiej tarapacie. Toteż potem bałem się już oka zamknąć.

BRZECHWA: Wierzę, mosanie, wierzę. Trzeba było wstać i umyć się zimną wodą.

MACIEJ: Żałuję, że tego nie zrobił. Ale fatyga przemogła i jakoś przyłożywszy głowę do poduszki przede dniem zdrzemnąłem się znowu. I to mnie dobiło. Wyobraź sobie jegomości, że ot tak, jak jegomości teraz widzę, widziałem cię w peruce i kusym fraczku.

BRZECHWA (*odskakując*): Tfy! tfy! Przeżegnaj się waszeć — a toż by już był koniec świata.

MACIEJ: Czy będzie koniec świata, czy nie, tego nie wiem, ale że nas coś złego spotka, to pewna. Już ja to mam doświadczenie. Jeżeli jednakowy sen, a do tego zły, trzy razy się powtarza tej samej nocy, zjedźże diabła, bieda jakaś za pasem. Toteż powiem jegomości, rady sobie dać nie mogę. Już dwa razy anyżówką się zakrapiałem i kawał spory kielbasy zjadłem na śniadanie — gdzie tam — nic nie pomaga — ciężko i ciężko!

BRZECHWA: Sen mara, a Bóg wiara, panie Macieju! Tak bardzo waszeć do serca tego nie bierz. Ale co prawda, to prawda. Sodoma i Gomora zrobiła się z tej naszej Warszawy. Ot, przed dwiema godzinami, nie mając co robić, myślę sobie, pójdę gdzie do kościoła, a potem przejdę się po ulicach pogawronić się trochę dla rozpędzenia alteracji. Dobrem sobie, mosanie, wymyślił lekarstwo — z deszczu pod rynnę, ni mniej ni więcej. Przeszedłszy Krakowską Bramę wstąpiłem do kolegiaty. Tam zastałem katafalk. Ot, tobie masz! Już to znak jakiegoś zmartwie-
nia!

MACIEJ: Przeciwnie, panie marszałku, to dobrze wróży.

BRZECHWA: Jedni, mosanie, mówią tak, inni inaczej, każdy według własnej eksperjencji. Mnie zawsze jakoś niemilo spotkać się z katafalkiem. Ale mniejsza tam o to. Ten był wspaniały. Ksiądz Biskup Cieciszowski pontificaliter Mszę świętą odprawiał, a w trumnie, jak dowiedziałem się, leżał ksiądz Minasowicz, kanonik warszawski. Zmówiłem Requiem za duszę księdza proboszcza brochowskiego, któremu dawniej u naszego pana wojewody widywał, i obejrzałem się po kościele. Ludu ćma, wszystko to modliło się. Państwa w ławkach dosyć, ale wszystko to szwargotało między sobą. Z kwadrans, mosanie, przysłuchiwałem się jednej parze, która przede mną w ławce siedziała. Cóż waszeć powiesz? Zabij mię, nie wiem, o czym gadali.

MACIEJ: Tak cicho?

BRZECHWA: Gdzież tam, głośno — i śmieli się, i ona mizdrzyła się do niego, a on do niej, i paplali cudzoziemskim językiem, stulając gęby i krzywiąc się, że mi się chciało splunąć.

MACIEJ: I ten jegomości był w kontuszu?

BRZECHWA: Et, gdzieżeś waszeć widział, żeby człek kontuszowy dopuścił się umizgów w kościele? To tylko w peruce, we fraczku uchodzi. Szlachcic prawdziwy, z wylotami, porąbie się w kościele na sejmiku, ale przywykł

szanować świątynię Pańską i swojej sukni żadnym błażństwem nie splami. A oni dziś, mosanie, kuso się ubierają i kuso też robi się w głowie, a fircykowato w obyczajach. Im się zdaje, że jak zrzucą odzienie przodków, to sami zostaną takimi, jakimi ich ojcowie byli. Falsz, falsz, mosanie! — Suknia, to drugie ciało. Nie dasz jej zrobić ujmę, jeżeliś w niej wyrósł, w niej ojca twego szanował, w niej pochował twego dziada. A cudza skóra co cię, mosanie, obchodzi, choć ją spaskudzisz? — Nikt w grobie się nie poruszy, gdy na niemiecki frak padnie ohyda. A przy tym z kim przystajesz, takim się stajesz, w czym chodzisz, tym jesteś. Przypnij sobie czubek dudka, będziesz śmierział jak dudek.

MACIEJ: Oj, mnoży się tych czubków u nas, mnoży!

BRZECHWA: Jest to, jak widzisz waszeć, inwazja, taka dobra jak inne, których mamy już niezłą, mosanie, próbkę. Polubiliśmy niemieckie fraki, francuskie szwargotanie, kat go wie jakie książki, wszystko zamorskie i cudze, toteż teraz z tych naszych afektów i prydelekcji mamy to, że ci ichmość, widząc, jak ich kochamy, wleźli nam na kark i diabeł wziął, co było najlepszego. Polak mądry po szkodzie, mówią. Gdzie zaś, obejrzyj się waść, co się dzieje, a pokaże się, że Polak po szkodzie jeszcze głupszy niż był przed szkodą. Gdzie się rusz, to obaczysz, mosanie, coś takiego, że trzeba albo ramionami ruszyć, albo splunąć, albo się rozgniewać. Sklepów ćma, a wszędzie sprzedają takie rzeczy, z którymi dobry szlachcic nie wiedziałby co zrobić. A przeczytaj waszeć nazwisko kupca, to ci język wykrzywi i nie pojmiesz, czy to Holender, skąd śledzie, czy Włoch, skąd małpy, czy Francuz, skąd peruki, czy inszy jaki Niemiec, mosanie. U pana Chrystofa Grafa, exempli gratia, na Krakowskim Przedmieściu sprzedają się karety angielskie, jakby dobrych warszawskich nie było, i wina burguńskie czy jakieś tam, jakbyśmy węgrzyna, mosanie, nie mieli? Tamże u jakiegoś pana... czekaj waść, zakonotowałem to sobie (wyjmuje karteczkę), a, u pana Wilhelma Obermana, jest prawdziwe piwo angielskie, które się nazywa porter, i wino, które nazywają pontak. Bądźże tu waść z tego mądrym!

MACIEJ (*zażywając tabakę i uśmiechając się*): Kto to komponuje takie denominacje?

BRZECHWA: Niemcy, mosanie, Francuzi, Angielczyki i kat go wie, jaka cudzoziemska szarańcza, co nam tymi sztukami mydli oczy i na kark włazi. I targają się, mosanie, na wszystko. Zdzierają nam kontusz z grzbietu, pas zdejmują z brzucha, czapkę zrzucają z głowy, zamiast węgrzyna każą pić jakąś lurę, ale co mnie najwięcej boli, że nas chcą uczyć rozumu i w tym, co każdy szlachcic nasz lepiej wie, niż wszystkie Niemcy i Francuzi razem.

MACIEJ: Cóż to proszę jegomości?

BRZECHWA: Oto wystaw sobie waszeć, zaszedłem do Marywilu, do pana Michała Grolla, bibliopoli króla jegomości, pod znakiem poetów. Chciałem kupić kalendarz, bośmy swego, mosanie, zapomnieli. Tam oto taką kartę wścibili mi w rękę. Słuchaj waszeć (czyta). „Uwładamiam się wszystkich panów posesjonatów ziemskich prześwietnej rzeczypospolitej, że p. Gautier de Salgues, rodem z Paryża,

otwiera szkołę rolniczą w Kobylce, gdzie przyjmować będzie młodzież, itd. itd.”

MACIEJ: Co? co? Obcy ma nas uczyć, jak siać żyto i pszenicę? Tfy! Toż by tego tylko brakowało! A po cóż u licha do chleba naszego liżą, jak koty do mleka, kiedy im się zdaje, że go piec nie umiemy?

BRZECHWA: Widzisz waszeć, wszystko to z góry. Ad exemplum principis, mosanie! Król nasz, który nawet koronować się nie chciał w kontuszu, przenicował siebie na cudzoziemca i nas chciałby także zrobić na francuskie kopyto. Wszystkie nasze państwo za nim w też tropy. Może król i dobrego chce, Bóg go wie, ale kiepsko się do tego wziął. Widziałeś waść, jak się szczepią drzewa?

MACIEJ: E, czy raz i sam szczepiłem?

BRZECHWA: Otóż, widzisz waść, i król jegomość tak robi. Chce odpiłować drzewu dawną jego głowę, a jak ona, mosanie, ze starymi gałęziami i liśćmi, spadnie na ziemię, wtedy w pień polski zaszczepia francuską gałązkę.

MACIEJ (*machnąwszy ręką*): I urodzą się gruszki na wierzbie! Panie zmiłuj się! — Nie darmo złe zmore dręczą człowieka we śnie i spać mu nie dają. — Ale cicho! Ponoć pan Wojewodzie przybył. (*Idzie ku drzewom i otwiera. Wojewodzie wchodzi nachmurzony, rzuca czapkę na stół i oddaje karabelę Maciejowi*).

Scena II.

WOJEWODZIC, BRZECHWA, MACIEJ.

WOJEWODZIC (*przeszedłszy się parę razy*): Cóż nie gadacie i pospuszczaliście nosy?

BRZECHWA: A cóż? Widzimy, że jaśnie wielmożny pan trochę się nam nachmurzył, to nie śmiemy pańskich myśli przerywać. A przy tym, powiedziawszy prawdę, i nam też nie wesoło. Chciałoby się już do domu.

WOJEWODZIC: Przyjdzie czas i na to. — Nie był tu kto?

MACIEJ: Jest tylko list, jak się zdaje, do jaśnie wielmożnego pana. (*Podaje mu list*).

WOJEWODZIC: Zdaje się? (*Patrzy na adres*) „A Monsieur Casimir de Zamiechowski.” Czy też śniło się kiedy memu ojcu, że do jego pocziwego nazwiska przyrośnie jeszcze DE? (*Rozpieczętowuje*). A, to Starościna! (*do Macieja*) Daj mi waść krzesło. (*Maciej podaje, on się obraca do swoich*). Idźcie waszmościowie do swojej roboty. (*Obaj stanąwszy w drzwiach spoglądają na Wojewodzica i machnąwszy ręką wychodzą*). (*Wojewodzie siada i czyta*). „Kochany Wojewodzicu! Nie uwierzysz, jaką mi radość sprawiłeś, żeś się dał wczoraj skonwinkować moimi racjami i przystał na zdjęcie z siebie tej starej, zapleśniałej kory, która tak trąci dawną dziczyną i odsuwa nas na dwieście lat nazad za europejską cywilizację. Możesz się spuścić na Duclosa, którego ci zarekomendowała. Jest on furniserem najpierwszych naszych eleganatów i za jego pośrednictwem staniesz pewnie w ich rzę-

dzie. Z twoją piękną postawą i z taką dystygowaną twarzą będziesz wyglądał jak jaki Rohan lub Montmorency”. (*Mówi*) Lub jak lis, któremu ogon obetną. — Wczoraj rano widać z dystrakcją zmówiłem pacierz, kiedy po południu takie głupstwo zrobił! A jednak dałem słowo — cóż teraz począć? Stało się. (*Czyta*). „Nie zapomnij mojego obiadu dziś o czwartej. Robię sobie wielką fetę z podziwienia moich gości, gdy cię obaczą tak, jak byś się mógł pokazać na pokojach w Wersalu. Będzie zapewne Grand-Maitre, twój największy przeciwnik w sprawie o kasztelanię, a może i mój brat nadjedzie ze wsi, twój największy przeciwnik w sprawie twego serca. Wiesz, co to są za wykwintnisie, ale zamkniesz im usta i schyłą uparte głowy przed twoją fryzurą, w której ci będzie tak dobrze. Co to dla mnie za tryumf! Jak mi najjaśniejszy pan podziękuje, gdy się o gorliwości mojej dowie! A propos! Wczoraj prezentowałam Teklusię królowi. Był nadzwyczaj łaskaw i długo z nią rozmawiał. Kasztelania pewna, kochany Wojewodzicu, a z tych rączek otrzymasz podpis królewski, domyśl się. — *Toute à vous*. — Czekam cię z niecierpliwością”. (*Wojewodzie mnie list i chowa — potem wstaje i przeszedłszy się parę razy, mówi*) Oj, gdyby nie ta rączka, z której mam otrzymać podpis królewski, miałbym się za cztery litery, gdybym uległ twej perswazji, piękna francuska czarownico! Ale cóż! Kiedy tej rączki od piersi oderwać nie mogę, kiedy to te niebieskie oczki mi perswadują, kiedy ten głosik ściga mnie i dzwoni ciągle w uszach, kiedy mi powiedziała, że nie ma wstrętu do fryzury i pudru! (*Przechadza się i po chwili staje*) Żona, mówią, od Boga naznaczona. I to prawda. O inszej człowiek ani pomyśleć nie może. Mógłbym wybierać: jest młodość, jest dostatek, jest kupa w okolicy dziewczek i dorodnych i majątnych, a żadna nie przyśni się nawet we śnie. (*Przechadza się gładząc włosy — potem staje przed zwierciadłem*) Oj, panno kasztelanko nakielska, co aścka ze mnie robisz? Dla twojej miłości będę musiał rozstać się z tymi włosami i wystrychnąć się bodaj na... Tfy! strach pomyśleć. Jak przed grzechem śmiertelnym, tak serce uciśnione, jakby przed spełnieniem jakiego występku, tak wszystkie pulsa biją w gorączce. Całą noc dziś oka nie zmrugałem i miejsca sobie znaleźć nie mogę. (*Zastanawia się — po chwili*.) Kaduczna pozycja! Stoję, mospanie jak Cezar nad Rubikonem. Jak tam go jakaś cudowna postać wabiła na drugą stronę, tak i ty, panno kasztelanko, ciągniesz mnie także. Niech się więc dzieje wola twoja... jacta alea est! (*Do Brzechwy, który wszedł przy ostatnich słowach*.) Co waść tak na mnie patrzysz, jak na raroga?

BRZECHWA: A nic — przynoszę tylko drugi list. Od pana jenerała Komarzewskiego.

WOJEWODZIC: Pokaż waść! (*Rozrywa kopertę i rzuca — czyta cicho z uspokojoną twarzą — tymczasem Brzechwa zbiera obie koperty, porównywa jedną z drugą, rusza ramionami i uśmiecha się szyderczo. Wojewodzie, przeczytawszy część listu, mówi*) Panie Janie!

BRZECHWA (*zbliża się z wolna*): Co jaśnie wielmożny pan każesz?

WOJEWODZIC: Czy posłany pana jenerała Komarzewskiego jest jeszcze?

BRZECHWA: Mówił, że odpowiedzi nie czeka, i poszedł.

WOJEWODZIC: Szkoda, trzeba mu było dać na szklankę miodu, bo mi dobrą przyniósł wiadomość. Chodź no waszeć tu bliżej, panie Janie, powiem ci, co piszą. To cię zapewne ucieszy, bo waszeć kochasz mnie; wyniańczyłeś, gdym był malcem, i nabiegałeś się nieraz do potu, gdym był chłopcem i łaził po drzewach i dachach.

BRZECHWA: I dzięki Bogu, wychowałem zdrowego i dorodnego, że jest, mosanie, na co spojrzeć. Toteż serce się krwawi staremu, gdy widzi jaśnie wielmożnego pana zafrasowanego.

WOJEWODZIC: Porzuć waszeć tego jaśnie wielmożnego pana, a nazywaj mnie tak, jakieś dawniej nazywał.

BRZECHWA (*zbliżając się*): Panem wojewodzcim.

WOJEWODZIC: Jeszcze nie tak, panie Janie.

BRZECHWA (*uradowany*) Panem Kazimierzem, mosanie.

WOJEWODZIC (*wyciąga do niego rękę*) Jeszcze nie tak!

BRZECHWA (*rzuca się w jego objęcia*) Kaziem! Moim Kaziem!

WOJEWODZIC (*ściska*) Ot tak, tak, pocziwy stary!

BRZECHWA (*ocierając łzy*) Niechże ci Bóg da szczęście i pannę kasztelanekę nakielską! Dobry mój Kaziu! Jaśnie wielmożny panie... mosanie.

WOJEWODZIC: Da Bóg, że to będzie. Otóż słucha waszeć! — pisze mi pan jenerał Komarzewski, że od dwóch dni leżą na stole jego królewskiej mości pergaminy i privilegia na łaski różnym osobom, które mają im być z dnia na dzień konferowane.

BRZECHWA: Więc i kasztelania, mosanie, o którą się staramy?

WOJEWODZIC (*ukazując mu w liście*): Patrz wasze! Imci księdzu Lipskiemu order Białego Orła, kasztelania rogozińska jegomości panu Rogalińskiemu, łędzka jegomości panu Gurowskiemu, a wieluńska — mnie.

BRZECHWA (*podnosząc chustkę w górę*): Vivat! Niech żyje Stanisław August, choć ufryzowany.

WOJEWODZIC (*przewracając kartę listu*): Ale czekaj no waszeć, nie wiwatuj! — Jest tu jeszcze jakieś postscriptum, a ja tych postscriptów nie lubię. W kobiecych listach w nich najważniejszy interes, a w męskich najgorsza nowina. (*Przebiega*) Zjedźże diabła! Jeszcze to niezupełnie pewne. Pan jenerał pisze, słuchaj wasze.

BRZECHWA (*z natężeniem*): Słucham, słucham.

WOJEWODZIC (*czyta*): „Ostrzegam cię wszakże, Wojewodzicu, że masz kompetytora wielce niebezpiecznego. Nie wymieniam go, bo nie chcę cię martwić. Zjednął on sobie łaskę dworu, że się przed pół rokiem przebrał po francusku, i dziś należy do najpierwszych elegantów”.

BRZECHWA: Tfy! I takiemu senatorskie krzesło? Toż to jakiś chłystek, mosanie.

WOJEWODZIC (*zachmurzony*): Cicho waść, nie gadaj tak — może to być człowiek z głową, choć ją pudrem przysypał.

BRZECHWA (*machnąwszy ręką*): Nie wierzę, mospanie! — Każdy z nich mniej więcej zaproszył sobie tą mąką staroświecki rozum, a niejeden przyprószył i dawną szlachecką pocziwość. I mam tego, mosanie, za...

WOJEWODZIC (*surowiej*): Cicho waść, mówię — i słuchaj dalej.

BRZECHWA: No, no, słucham. (*Na stronie*) Co on u diabła tak za tymi fircykami obstaje?

WOJEWODZIC (*czyta*): „Mimo to, kochany Wojewodzicu, bądź dobrej myśli. Protektorowie twoi nie śpią. Dziś o dwunastej ma być wszystko podpisane i dzisiaj jeszcze będziesz wiedział o skutku. Jeżeli jeszcze to prawda, co mi o postanowieniu twoim doniosła Starościna i o czym król jegomość dowie się, a może już i wie, wątpić nie możesz i nie powinienes. Jutro wypijemy za zdrowie kasztelana wieluńskiego, a że to związane z milszą sercu twemu perspektywą niż wszystkie krzesła razem, wypijemy i za zdrowie przyszłej pani kasztelanowej”. (*Do Brzechwy.*) Cóż ty tak kręcisz wąsy obiema rękami i nie winszujesz?

BRZECHWA: O jakim to postanowieniu pisała jenerałowi pani Starościna, co ma rzecz zakonkludować? (*Wojewodzie zaambarasowany nie odpowiada i odchodzi na stronę, w tejże chwili wchodzi Maciej i szepce coś Brzechwie, który z gniewem mówi dalej*) Co? Co? Francuzi z sukniami? Tu do nas? Może się pomylili, mosanie!

MACIEJ: I ja im rychtyg tak perswadowałem — ale oni na gwałt liżą i coś tam szwargoczą, że to nie pomyłka, że jaśnie wielmożny pan kazał.

WOJEWODZIC (*na stronie i unikając wzroku Brzechwy*): Masz tobie — nadszedł fatalny moment! — (*Podnosi głowę i z powagą mówi.*) Puszczaj ich, Macieju, i niech tu te suknie rozłożą na stole.

MACIEJ: Ja tam już jaśnie wielmożnemu panu inne suknie przygotowałem. — Może jaśnie wielmożny pan będzie się ubierał.

WOJEWODZIC: Jeszcze nie — jeszcze nie. Uszykujcie pierwiej to, co ci ichmościowie przynieśli tu z mego rozkazu. (*na stronie*) Nie, nie mogę tym pocziwym sługom w oczy patrzeć. O, panno kasztelancko nakielska, co ja dla ciebie robię! (*Wychodzi szybko do sypialnego pokoju. Brzechwa stoi w zamyśleniu. Maciej trąca go.*)

MACIEJ: Jegomość! — Panie marszałku!

BRZECHWA: Czego tam waść chcesz?

MACIEJ: Ale patrz no, jegomość! Tam już ten pudel zagląda. Czy wpuścić go?

BRZECHWA: A jużci, puszczaj go waść — słyśzałeś, co pan mówił, że to z jego rozkazu coś przynieśli. (*Maciej idzie ku drzwiom i daje znak do wejścia.*)

Scena III.

BRZECHWA, MACIEJ, DUCLOS i trzech jego pomocników.

DUCLOS (*stając w drzwiach*): Czy można zrobić une entree formelle?

BRZECHWA: A chodź wasan, chodź! — Kiedy pan kazał, to już ci nie wypchniemy cię za drzwi.

DUCLOS (*wchodzi — jest ubrany starannie i u fryzownika z precyzją — kłania się*)

Eh bien! Ja prezentował panom moje respekty. Bon jour, messieurs. (*Obraca się do drzwi.*) Venez donc, mes enfants, et mettez moi tout cela en ordre. (*Wchodzi jeden chłopak i niesie wielki karton z garderobą, drugi w jednej ręce trzewiki lakierowane z czerwonymi korkami, w drugiej puszkę z pudrem i kutas do pudrowania, trzeci w jednej ręce miedniczkę, w której mydelniczka z pędzlem, a na rękę ręcznik, w drugiej zaś ręce na drewnianej głowie u fryzownika już perukę. Wszystkie to układają na stole.*)

BRZECHWA: A to cała procesja, mosanie!

MACIEJ: Patrz no, jegomość, peruka!

BRZECHWA: A widzę. Co to u licha ma znaczyć?

MACIEJ: Mów jegomość, co chcesz, a po mnie mro- wie przechodzi. Trzy razy jedno i to samo mi się śniło!

DUCLOS (*oglądając się*): Jaśnie wielmożna Wojewo- dzica nie był w domu? Pas vrai, monsieur?

BRZECHWA: A diabli cię wiedzą, czy papaver, czy nie?

DUCLOS: Ja tu miał karteczkę, która jaśnie wielmożna Wojewodzica napisał u mnie, w moja magasin, do swój maitre d'hotel, niejaka pan... pan Brzy... Brze... Brzo... Le diable m'emporte, si jamais je prononce cela.

BRZECHWA: No, no, nie krztuś się, diable, polskim nazwiskiem, żebyś się nie zakrztusił polskim chlebem. Gadaj lepiej, co chcesz?

DUCLOS: Ja chciał pokazywał wszystkim ten elegance. Des choses magnifiques! Obaczył pan maitre d'hotel.

BRZECHWA: Nie dla nas to, mosanie — nikt się tu w to nie ubierze i kat wie, na co to przyniosłeś.

DUCLOS: Jaśnie wielmożna Wojewodzica kazał tu przynosić i już oglądał dans mon magasin. — Ale gdzież był son premier valet de chambre?

BRZECHWA: My tu, mosanie, we francuskie karty nie grywamy. U nas walet nazywa się niżnik.

DUCLOS: A, niżnik, niżnik, zrozumiał — gdzież był ten niżnik, co jasny wielmożny Wojewodzica ubierał — ja jemu chciał pokazał ten elegance pour l'instruire un peu.

BRZECHWA: Pójdź waść, panie Macieju, kiedyś niżnik, i obacz, co to tam jest?

MACIEJ: Doczekałem się na moje stare lata!

BRZECHWA: Śmieję się waszeć z tego — i obaczmy.

MACIEJ: A obaczmy.

DUCLOS: Eh bien! Chciał i pan maitre d'hotel obaczył. (*Odkrywa pudło i wyjmuję pudermantel biały, ma-*

terialny.) Voyez-moi un peu cela! A co? Był w admira- cja!

BRZECHWA (*bierze w ręce, a Maciej przygląda się*): Cóż to takiego? To jakiejś imości szlafrok.

DUCLOS (*odbiera*): Pas tu tout — to był dla jegomość pudermantel. Voyez, jaki to material! Soierie de Lyon, monsieur. Tym okrywał się jegomość, kiedy już był a demi habillé i miał na głowa cette admirable perruque. Wtedy on usiadł, le frasier wziął cette précieuse poudre (*odkrywa puszkę, bierze kutas, macza i odstępując przedko parę kroków strzepuje puder na perukę*) i tak z daleka strze- pywał na jaśnie wielmożny głów, póki jaśnie wielmożny głów nie był zupełnie biały i pachnący. (*Podstawia mu puszkę.*) Voyez un peu comme cela sent bon — zrozumiał?

BRZECHWA: Zrozumiałem — ale czy to już wszystko?

DUCLOS: Pas du tout — to dopiero był z początku. (*Wydobywa jedno po drugim.*) Eh bien! pan maitre d'hotel widział kiedy taki koszul? Une batiste fine, parole d'hon- neur. Drugi taki nie znajdował się w cała Warszawa, chyba u sam król albo u monsieur le grand maitre. Zro- zumiał? — (*Brzechwa daje znak, że pojął.*) Obaczył ten krawat z korona! Magnifique! ten gilet! Oh, que c'est beau! Nie widział taki, jak żył. Tylko w jeden Paryż taka rzecz mógł być zrobiony.

BRZECHWA: Patrz no, panie Macieju, to coś takie, jak we śnie waściny m zrobiło się z twoich żupanów.

MACIEJ: Nie żartuj jegomość, bo jeśli cały sen się sprawdzi, to bodaj czy ta peruka nie dla jegomości.

BRZECHWA: Idź waszeć do diabła z taką przepo- wiednią!

DUCLOS: Teraz prosił, wystrzyszył wszystkich ocz, jakie miał. (*Wydobywa frak aksamitny koloru ciemno fioletowego, białą materią podszyty, z emaliowanymi gu- zikami.*) — Aha, zaszł się pan maitre d'hotel, stanął ébahi pan Polak! To nie był waszy kontusz de mauvais goût, z takim rękawem, co to rzucił się comme un possédé.

BRZECHWA (*z gniewem*): Cicho, ty szoldro! Pokazuj swoje, ale z naszego nie drwij, bo cię z całym tym bla- żeństwem za okno wyrzucę, mosanie. (*Rzuca frak na stół — na to wchodzi Wojewodzic.*)

Scena IV.

CIŻ I WOJEWODZIC.

WOJEWODZIC (*nie patrząc na ukłony Duclosa, do Brzechwy*): Pójdź wasze tu — czego to rozgniewałeś się?

BRZECHWA: Et, proszę mnie już nie pytać. Lada szubrawiec, mosanie, drwi sobie z nas, a my za to jeszcze płacimy.

WOJEWODZIC: Umityguj się waszmość — proszę cię panie Janie.

DUCLOS (*zachodzi Wojewodzicowi z niskim ukłonem*): Mes respects, excellence!

*) Materialny — jedwabny.

WOJEWODZIC: Mówiłem już wasanu, zem nie biskup. Przyniosłeś wasan wszystko?

DUCLOS: Tout, tout en ordre! Première qualité, un goût exquis. Kto miał taka figura, comme vous, excellence, będzie w ta elegancja wyglądał comme un Apollon — parole d'honneur.

WOJEWODZIC (z powagą): Dobrze, dobrze! — Macieju, zaprowadź waść ichmościów z tymi rzeczami do mojej sypialni i niech je tam rozłożą.

MACIEJ (przełęczony): Do syp... syp... sypialni? (Na stronie.) Aj coś mi w gardle stanęło!

WOJEWODZIC (z gniewem): Do mojej sypialni — slyszaleś waść? Idź za panem Duclos, i przyrządźcie tam wszystko, jak trzeba.

DUCLOS: A l'instant, excellence! — Eh bien! Vite-mes garçons, emportez moi cela! (Zabierają rzeczy i idą za Maciejem, który trzymając się za głowę wchodzi do sypialni. Wojewodzie stoi z boku z pochyloną głową i szarpie wąsy, Brzechwa z drugiej strony, z rękami splecionymi na brzuchu, patrzy nań bystro — po chwili Wojewodzie ogląda na Brzechwę, wzdycha i odwraca się — Brzechwa przystępuje.)

BRZECHWA: Jaśnie wielmożny Wojewodzicu! Panie Kazimierzu!

WOJEWODZIC (nie patrząc): Czego chcesz, stary?

BRZECHWA: Chcę wiedzieć, mosanie, dla kogo te rupiecie tam ponieśli?

WOJEWODZIC (nie patrząc nań): Dla mnie, panie Janie.

BRZECHWA (odstępując): A słowo stało się ciałem! (Klasnąwszy w ręce). Takiego nieszczęścia nie spodziewałem się! (Zakrywa oczy i zaczyna płakać.)

WOJEWODZIC: Fe, bo panie Janie, nie alteruj się tak! (na stronie) Pocziwiec!... czuje moje głupstwo więcej niż ja sam! (głośno) Ale dajże pokój, panie Janie! Stary człowiek, żeby był taki mazgaj! wstydz się!

BRZECHWA (ocierając łzy, patrzy nań surowo): Czy to ja powinienem się wstydzić? Czy wy wszyscy, co się wyrzekacie pocziwej szersci waszych ojców, serdecznego głosu waszych babek i w cudzą odziewacie się skórę, i cudzym skomlicie piskiem! — O, utinam falsus sim vates, ale skomleć za to będziecie.

WOJEWODZIC (wzruszony na stronie): Co ja mu powiem — nie mogę od razu zranić tak pocziwego serca. (głośno) Panie Janie, widzisz waść, jak niepotrzebnie się alterujesz. Chociaż to moja wina, zem ci od razu wszystkiego nie powiedział. Wszystko to żart, panie Janie, założyłem się o pięćdziesiąt czerwonych złotych z jednym z dawnych kolegów szkolnych, który się przebrał po francusku, że tak dobrze jak i on potrafię się ruszać we fraku i w peruce.

BRZECHWA: Tereferę, mosanie! Chcesz mnie jaśnie wielmożny pan wyprowadzić w pole!

WOJEWODZIC (prędko): A znowu jaśnie wielmożny pan — ej, panie Janie!

BRZECHWA: No, dobrze, to ci powiem, jakem mówił wtenczas, kiedym cię brał z Collegium Nobillium i kiedys mi się chciał wykpić i drapnąć do jakiejś dziewczyny, pamiętasz?

WOJEWODZIC: Jakże bym zapomniał? A chciało mi się wówczas głupstwo zrobić, aleś mi nie dał.

BRZECHWA: Otóż i teraz chcesz mnie odrwić i zrobić coś więcej, jak głupstwo, ale ci nie dam, nie, nie dam, jak Pan Bóg na niebie!

WOJEWODZIC: Juźci choć spróbować muszę tych sukien! Inaczej przegram pięćdziesiąt czerwonych złotych.

BRZECHWA: Bierz diabli pięćdziesiąt czerwonych złotych. — Mamy ich dosyć. A choćby pięćdziesiąt tysięcy, mosanie, to lepiej je stracić, niż się wystrychnąć... (uderza się po ustach.) Panie, daj mi cierpliwość, bo dalibóg powiedziałbym, co by się nazad wzięć nie dało!

WOJEWODZIC (z impozycją): Panie Janie, to jednak być musi! Postanowiłem — przyrzekłem — i dotrzymam słowa. Tu idzie o coś więcej jak o pięćdziesiąt tysięcy nawet. (Wchodzi Duclos, a za nim chłopak z ręcznikiem na rękę, rozrabiając mydło do golenia.)

DUCLOS: Excellence! wszystko był gotów — ale trzeba zrobić początek od tego moustache.

BRZECHWA: Co? co? Mustasz? — Co to jest mustasz?

DUCLOS: A to ten, co wy nazywał wąs. Z tym trzeba najpierwej precz. On to będzie ściał brzytwą.

BRZECHWA (chwytając go za rękę): Ściał brzytwą? Słuchaj, ty sołdro! Róbcie sobie tam te próby, jak chcecie, ubierajcie się jak komedianty i fircyki — ale wara, mosanie, do wąsów, bo cię ogolę bez brzytwy i bez mydła.

DUCLOS (wydzierając rękę): Comment!

BRZECHWA: Tu nie koma, mosanie, ani media nota; ale ci zapowiadam, że jak mi tkniesz jednego włoska z jego wąsów, to w tobie ani jednej kości całej nie zostawię.

DUCLOS (cofa się): Diable!

BRZECHWA: Panie Wojewodzicu bełski! Czy to także dla zakładu i próby i wąsy mają być ogolone? Więc to tak oszukuje się starego przyjaciela, który płakał z radości, kiedy ci się pierwszy wąsik wysypał, a teraz, kiedy ci wyrósł taki sumiasty i groźny, chcesz go dać pod nóż tego antychrysta?

WOJEWODZIC: Hola, panie Janie, przestań! — Przewróciłeś mi duszę. — Uspokój się waszeć, wąsy zostaną. Pójdź wasan ze mną, panie Duclos. (Wychodzi, Duclos za nim — Brzechwa odbiera chłopcu mydelniczkę i wypycha go za drzwi.)

Scena V.

BRZECHWA, MACIEJ, potem WOJEWODZIC i DUCLOS.

BRZECHWA (sam, przechodzi się przez niejaki czas): Dobrze mi, mosanie, panna kasztelanka nakielska powiedziała, że moda to choroba zaraźliwa i potężna. Ja, stary głupiec, śmiałem się z tego, wierzyłem w mojego Woje-

wodzica, że mi dotrzyma, ufałem w jego poczciwe, szlachecnie sentymta i dąłem, mosanie, jak na cztery tuzy, że to głupstwo nie przystanie do jego głowy. Otóż masz teraz! — Oj! Gdybym mógł mieć pod ręką z parę kudłatych łbów, choćby senatorskich, co nam tę zgubę do kraju przyniosły, tak bym je, mosanie, stał, żeby z tego francuskiego pudru ani jeden pyłek we włosach ich nie został. *(Podchodzi ku drzwiom sypialni.)* I co on tam robi? Czy też będzie miał sumienie wyprzysiąc się starej wiary ojców i przechrzcić na lutra, na farmazona? *(Odchodzi ode drzwi)* Ale nie, nie pójdę. — Niech sobie robi, co chce — nie powiem już ani słowa. *(Siada odwrócony ode drzwi)*.

MACIEJ *(wychodzi z zasmucony)*: Jegomość!

BRZECHWA: Daj mi waść pokój!

MACIEJ: Wszystko przepadlo. Mówiłem, że jakieś nieszczęście za piecem. Miły Boże! Nasz pan, taki mężczyzna! Taka powaga, taki ruch każdy, czy pogłodzić czuprynę, czy zakręcił wąsa, czy wyloty, czy pasa poprawił, aż serce się staremu słudze radoowało, aż dusza skakała. A teraz, żal się Boże, wygląda jak...

BRZECHWA: Cóż? Jak chłystek, jak jaki wydrwigrosz z pudelkiem, jak... jak... Niech mnie Bóg skarze, mosanie, jeżeli ze złości zdołam dobrać nazwiska. Ale powiedz waść, czy się spokojnie ubiera, czy kontent ze swojej małpiej, Panie odpuść, postaci?

MACIEJ: Gdzie zaś — krzywi się, szarpie, to mu ciasno, to go gniecie, słowem, jak nie w swojej skórze, jak okradziony.

BRZECHWA *(wstając)*: To chwala Bogu! To dobrze. — Niech się mosanie, wystrychnie na kpa, kiedy mnie nie chciał słuchać i moje lzy miał za nic. Już ja teraz płakać nie będę, ale języka nie pożałuję. Powiem, co ślina mi do gęby przyniesie, a potem do klasztoru, mosanie. I ja się także przebiorę.

MACIEJ: W perukę? Jak mi się wyśniło?

BRZECHWA: Głupiś waść — w habit bernardyński, mosanie! Będę braciszkiem, będę kurytarze zamiatał, będę się modlił za jego i za swoje grzechy. Dostyc już tego świata, dostyc tego marszałkowania, dostyc tego cześnikowiczostwa stężyckiego. Teraz pacierze, chór i miotła — *(ze łzami)* nim, mosanie, przyjdzie ultima dies, grób i pokój.

MACIEJ: I ja z jegomością pójdę także do klasztoru. Nie wrócę już do domu. Nie spojrzę więcej na ten lamus murowany, gdzie miał pańską garderobę. Serce by mi pękło, gdybym pomyślał, że tam nie kontusze, nie żupany, nie owe pasy złociste i starożytne karabele, ale obaczę te kurtki ogoniaste, te rożenki stalowe i na łbach drewnianych ustawione rzędem peruki. *(Z rozczuleniem.)* Weź mnie jegomość z sobą.

BRZECHWA *(podaje mu rękę)*: Poczciwy panie Macieju, pójdziem, pójdziem razem! Ale cicho, coś drzwi się ruszają. *(Wychodzi Wojewódzic, w jedwabnych pończochach, w trzewikach na korkach, w krótkich białych spodniach, we fraku, w żabotach, w halsztuku, w peruce, ze szpadą i z płaskim kapeluszem w ręku, kolo niego skacze Duclos i okazuje ukontentowanie. Wojewódzic idzie nle-*

zgrabnie, poprawia się, jakby go co pętało. Brzechwa i Maciej stoją obaj z boku, z początku kiwają wzgardliwie głowami, ruszają ramionami, później stopniowo uśmiechają się, słuchając co Wojewódzic mówi, a nareszcie duszą się od śmiechu.)

DUCLOS *(zaraz po wyjściu Wojewódzica mówi)*: Mais excellence, c'est admirable! Żeby nie ten moustache, który wszystko zepsul, ce serait magnifique!

WOJEWÓDZIC: Czy magnifique, czy nie, tego jeszcze nie wiem, bom się jeszcze nie widział, ale to wszystko ciasne, jakieś pętające, w tym ruszać się nie można swobodnie. *(Bierze się za połą od fraka i podnosi rękę.)* A przy tym to takie kuse, że się zdaje czleku, że goły lub czym oblepiony, fe, do diabła!

DUCLOS: Pardon, excellence! To wyglądał parfaitement bien. Nikt pana Wojewódzica nie poznał. Dopiero teraz pokazał się, jak pan Wojewódzic był doskonale zbudowana. Parbleu! miło popatrzył. Tylko ten moustache wszystkiemu zawadził.

WOJEWÓDZIC *(postąpiwszy parę kroków)*: Ale mój kochany, wąsy nie zawadzają temu, że mi się zdaje, że się z nóg zwalę na tych głupich korkach. Do czego to, z tym chodzić nie można. A pod kolanami coś ciągnie i szarpie i ten rożenek płącze się. *(Chce poprawić pasa)* A ręk, do diabła, nie ma gdzie podziać i na czym oprzeć.

DUCLOS: Pardon, excellence! Jasny pan Wojewódzic miał w ręką kapelusz pour le maintien.

WOJEWÓDZIC: To ty nazywasz to kapeluszem? Jakże to włożyć na głowę? *(Chce spróbować)*

DUCLOS: Au nom du ciel, excellence! To trzymał w ręk — broń Boże nie kładł tego na głów. Główny fryzowany jest nietykalny; on ne touche pas la frisure impu-nément! C'est un sacrilège!

WOJEWÓDZIC: Gadaj, co chcesz, ale to musi jakoś głupio wyglądać.

DUCLOS: Pardon, excellence! Proszę tylko obaczyl siebie, jaka to będzie admiration cały wielki świat. Tout le monde sera ébahi.

WOJEWÓDZIC: Ano, jużci na końcu muszę się obaczyć. *(Przystępuje do zwierciadła i spojrzawszy na siebie, cofa się — potem ogląda na Brzechwę i mówi serio)* Panie Janie, pójdź wasze tu. *(Brzechwa zbliża się)* Czy widzisz waść tego błazna tam w zwierciadle?

BRZECHWA *(dusząc się od śmiechu)*: A widzę, widzę! *(na stronie)* i nie tylko w zwierciadle.

WOJEWÓDZIC: I to mam być ja? I takim kpmem pokazałbym się oczom ludzkim? Tfy! Masz waść rację, panie Janie, że śmiejesz się teraz, bo to błaźństwo nie warte lzy poczciwej, jaką pierwej przelałeś. *(Rzuca kapelusz.)* Precz z tym krążkiem! *(zrywa perukę i rzuca na ziemię)* Precz z tą grzywą! *(Zdejmuje frak i rzuca na ziemię.)* Zabierz sobie to, mospanie Duclos, i nieś do takich samych chłystków, jakęś sam. *(Z dumą)* Brzechwa, obrachuj go i zapłać! — Maciej, pójdź, ubieram się. *(Wychodzi z Maciejem tryumfującym.)*

Scena VI.

BRZECHWA, DUCLOS z pomocnikami, potem WOJEWODZIC i MACIEJ.

DUCLOS (*tragicznie*) Qu'ai-je vu? Grand Dieu!

BRZECHWA: Aha, desperuj teraz, diable, desperuj!

DUCLOS (*zdejmując perukę, deklamując*): Malheureuse perruque! ciebie rzucił na ziemię barbarzyński rąk! Jeden sarmacki moustache ciebie zwyciężał i podeptał ze swoją nogą. Ale ja ciebie podejmowałem, ja dla ciebie zrobiłem une restauration glorieuse! Ja ciebie postawiłem tak wysoko, gdzie żaden moustache nie dosięgnął.

BRZECHWA (*śmiejąc się*) Nie głupiż to człowiek? Uwziął się wąsy nazywać mustaszem.

DUCLOS (*składa frak*) Eh toi, habit superbe! Oh, quel affront! — Mais, il me le payera.

BRZECHWA: Co ty tam gadasz z sobą? Ze mną pomów, mosanie.

DUCLOS (*zawsze z emfazą*): Co ja gadał, pan maître d'hôtel? Ja teraz niewiele gadał, ale pan maître d'hôtel dużo mnie zapłacił za moja praca, za moja sponiewierana élégance i za mojego wstydu!

BRZECHWA: A jużci, pan kazał zapłacić, to się zapłaci. Porachujemy się, mosanie, i co się będzie należało...

DUCLOS: Więcej, więcej — cela n'a pas de prix, pan maître d'hôtel! Ja będziem polikwidował i mój ubytku, i calego afrontu dla tego szacowna rzecz.

BRZECHWA: Cóż im się stało, tym szacownym rzeczom? Diabeł ich nie wziął?

DUCLOS: Co? Pan maître d'hôtel jeszcze gadał o diabeł? Pan maître d'hôtel rozumiał, że moja elegancja, które ja prowadził de Paris, można tak rzucać na ziemię i deptał z nogą? Oh, que non, parbleu! Mnie ten hańba pan maître d'hôtel zapłacił albo ja podał skargę do pana Ryks, starosta piaszczynek, a on powiedział zaraz najjaśniejszy pan — zrozumiał pan maître d'hôtel? (*Pakuje swoje manatki*)

BRZECHWA: Proszę, jaki obraźliwy! (*na stronie*) Z takim fryzowanym paniczem, to Boże mie skarz, gorzej jak z Żydem. Żyda, mosanie, kiedy szachruje i zdziera, to można przynajmniej dla satysfakcji za pejsy wytargać. A ten otumani człowieka, okpi gorzej jak Żyd i jeszcze mu się kłaniaj, i szanuj go.

DUCLOS (*do chłopców*): Allez prendre ce qui reste là, et mettez moi tout en ordre. (*Do Brzechwy*) Ja już odchodził, pan maître d'hôtel, i przysłał tu porządną liquidation, i mnie musiał, musiał zapłacić do ostatni grosz: peine perdue, temps, dommage, affront, tout, tout!

BRZECHWA (*oglądając się na drzwi sypialni*): Dobrze, dobrze, ale teraz cicho bądź, Francuzie, i patrz — a co? (*Wychodzi Wojewodziec w karmazynowym atlasowym żu-*

panie, brylantową spinką zapiętym, w turkusowym kontuszku, podsztytym takimże atlasem jak żupan, pas lity na czerwonym tle, czapka biała, mina swobodna i wesola. Za nim Maciej niesie karabelę i przygląda się jej — z tyłu chłopcy magazynowi z efektami)

WOJEWODZIC: Panie Janie! Dziękuję waści, że mi i tą razą nie dał głupstwa zrobić! Ocaliłem wąsy, a przy wąsach ocalała i poczciwa ozdoba przodków, poważna suknia, i czoło otwarte i kudłami nie zakryte. Jeśli mnie minie kasztelania dlatego, że zostałem wierny obyczajom ojcowskim, to żałuję Boże i wchodzić do takiego senatu, gdzie, żeby radzić krajowi, trzeba się wprzód wyprzeć tego wszystkiego, co kraj od wieków szanował. Jeżeli i panna kasztelanka nakielska nie zechce mnie takim, jak jestem, to... to... żał mi będzie drogiej dziewczki, którą ukochał, iza może zakręci się w oku, ale powiem jej: „Bądź mi asińdzka zdrowa, asińdzka nie dla mnie!” (*Przywiązuje sobie karabelę, którą bierze od Macieja*) No, coż bo, panie Janie! Dusileś się od śmiechu wtedy, kiedy się chciał zbłaźnić, a teraz, kiedy, zdaje się, mówię jak człowiek uczciwy, to się waści na płacz zbiera? Ale rozumiem cię, stary przyjacielu! — To iza radości ciśnie się ci do oka, że twój Kazio nie zgłupiał. Bądź spokojnym! Próba to dobra i nauka, jaką mi dałeś, nie pójdzie w las. Nieoh sobie wszystka szlachta zgłupieje i spudrzy się, mnie pchowają w grobie ojcowskim takim, jakim teraz jestem. (*Patrzy w zwierciadło i poprawia czapkę*) A teraz na obiad do pani Starościny. Spodziewają się tam zapewne obaczyć małpę, a obaczą człowieka. Ale to nie moja wina. Dla jej miłości kpeć być nie mogłem. Przyjdz tam waść, panie Janie, może mi będziesz potrzebnym. (*Wychodzi*)

DUCLOS (*patrząc za nim*): Parbleu! Cet homme-là est perdu pour la civilisation!

BRZECHWA: No, wynoś się teraz ze swymi manatkami.

DUCLOS: C'est bien! Allez mes enfants! (*Chłopcy wychodzą procesjonalnie*) A mój pieniądz przygotował! (*Kłania się*) Bon jour, pan maître d'hôtel. (*Wymyka się*)

BRZECHWA: Idź do diabła! I żeby was wszystkich tak wyrzucić za drzwi, to by nam podobno lepiej było. (*Do Macieja, wyciągając rękę*) Panie Macieju, a co? Teraz nie pójdzim do bernardynów na braciszków?

MACIEJ (*śmiejąc się i płacząc zarazem*): Nie, nie, mój jegomość.

BRZECHWA: Będziem służyć takiemu panu, mosanie?

MACIEJ: Do śmierci, mój jegomość.

BRZECHWA (*otwiera ramiona*): Pójdzże tu, stary! Uściskajmy się! (*Ściskają się. Zasłona spada*)

Koniec aktu drugiego

(d. n.)

KUJAWIAK

Moderato

f *mf*

1 2 (A) Jak kłos sło-ciułki w słończku dojrzewa, I jak kło-so-wi sło-neczka po teźba,
cresc.

Tak ser-ce moje bez two-go patrzenia, Ił-sy-da zpra - gnienia (B) *Fine*

1 2 (C) 3 1 2 3

1 2 (D) Na Ku-ja-wach po-wia-da-je, że tam du-ży po-sag da-ja

(E) Cztery se-ry i dzban maślanki 1 Cały po-sag Kuj-a-wianki 2 Cały posag Kuj-a-wian-ki

Kujawiak

Takie dziewczę ko — cham,

F Czarna ja — białe ko sta — le się to — czy,

D. S. *al Fine*

WIADOMOSCI

z życia świetlic — przegląd wydawnictw — różne

FERDYNAND GOETEL

SPORTY ZIMOWE W POLSCE

My, wychodźcy zamieszkali w Londynie, powtarzamy w kółko, że Polacy lubią zimę. Niejeden, który zamyka się w grudniu na glucho w dobrze ogrzanej izbie, opowiada baśnie o torach łyżwiarskich, saneczkach, nartach. Sentyment nasz do zimy wiąże się raczej ze wspomnieniami zaśnieżonych chałup w dzień wigilijny, w ostateczności i sań pobrzękujących dzwonekami.

Dawnymi czasy nie było też chyba wiele inaczej. Szlagon polski czy kmieć nie lubił „wychylać się“ z domu w mroźny dzień. Wyjątek stanowiły dwie okazje, tym razem już tylko dla szlachty: kuligi i polowanie po białym śladzie. Kuligu do sportu zaliczyć nie sposób, jeżeli już nie brać pod uwagę rekordów w odrąbanych na mrozie hołupcach. Myślistwa, jak wiadomo, niektórzy w ogóle nie są skłonni uznać za sport, zważywszy jego utylitarną stronę w postaci upolowanej zwierzyny. Był jednak w dawnych czasach pewien sposób myśliwski, który należy nazwać sportowym. Mam na myśli polowanie na wilki z pędzących po nocy sań. Bezinteresowność tej igraszki, niebezpieczeństwo jej, konieczna zręczność woźnicy i strzelca — wszystko to składa się na sport i to wysokiego rzędu.

Kiedy i w jakich okolicznościach jęli na łyżwach jeździć sztubacy polscy, nie sposób ustalić, gdyż żaden z kronikarzy o łyżwiarstwie nie wspomina. Kitowiez opisuje, i to dość dokładnie, palcaty i palanta (zwanego w pewnych okolicach Polski kwadrantem); starszy od niego Pasek, owszem, przebąkuje coś o łyżwiarstwie, ale... w Danii. Tak czy owak, można powiedzieć, że od połowy XIX wieku ślizgawka znana jest w Polsce nie tylko we większych miastach, ale i w miasteczkach. Nie popełnimy błędu dopuszczając, że szczytem ambicji „sportowej“ ówczesnego łyżwiarstwa było zatańczenie z partnerką walczyka na lodzie; o akrobatyce dzisiejszego baletu na lodzie nikomu się nie śniło

Dziwne się wyda, że popularna ongiś w Polsce ślizgawka nie postępuje naprzód z biegiem lat, a raczej chyba się cofa. Powodem tego stało się, że z lodem jął konkurować śnieg, a z łyżwami narty.

„Narty przyszły z północy...“, w zdaniu tym ujmujemy krótką historię europejskiego narciarstwa, które dziś jest z pewnością jednym z najbardziej żywiołowych pędów cywilizowanego człowieka. Północ Europy to kraje skandynawskie i Finlandia. Jeżeli po dziś dzień pewien typ nart nazywamy fińskim, należałoby sądzić, że ojczyzną narciarstwa była Finlandia. Sądzę, że umiejscowienie to nie wytrzymuje krytyki. Narty wynaleźli, zdaniem moim, i nie tylko moi, pasterze reniferów. Pasterz taki czy poganinacz był nomadą północy. Tabuny reniferów przepędzał od Laponii po Finlandię. Gór wysokich unikał. Konieczność nadażania za szybkim zwierzem po głębokich nieraz śniegach spowodowała, że niejako wydłużył swą stopę chcąc zarówno utrzymać się na powierzchni śniegu, jak i zyskać na szybkości. Te pierwsze narty poganinaczy reniferów nie odbiegają z pewnością od tych, które do dziś dnia nazywamy fińskimi, to znaczy, że są długie na 3 metry i więcej, a wąskie. Być może, iż ten właśnie wygląd, nart długich i mało zwrotnych spowodował, że sprzęt fiński, przeszczepiony do Europy środkowej, w której śnieg trzymał się wysokich i stromych nieraz gór, okazał się mało użyteczny i zraził w ogóle do narciarstwa pierwszych jego pionierów. Nie wiem, jak to było za granicą, ale wiem, że w Polsce w latach 1880-tych pojawił się śmiały i niewątpliwie zaciekły narciarz nazwiskiem Barabasz. Ten nie poprzestał na przejażdżkach narciarskich po połogim terenie, lecz na nartach swych, niewątpliwie fińskich, wyruszył w Karpaty zdobywając niejeden szczyt. Barabasz błysnął jednak jak meteor i zniknął bez śladu. Trud

poruszania się po naszych górach na wąskich jak tasiemce deskach odstręczył od nart towarzyszy Barabasza. Jakżeż jednak będzie z owymi łyżwami, których podobno używali nasi Poleszcy do poruszania się po śniegu i lodzie? Są tacy, którzy właśnie w łyżwach poleskich upatrywaliby rodowód naszego narciarstwa, bardziej już rodzimy. Nie zapomnijmy jednakże, że obok nart istniał inny przyrząd, ułatwiający brodenie po śniegu; były to tzw. karple, coś w rodzaju obręczy czy też rakiety tenisowej przymocowanej do buta. Karpli tych używali i używają Eskimosi. Skoro zaś przyrząd ich przedostał się z kolei do Kanady, zwykliśmy byli nazywać go „kanadyjskimi nartami“. Łyże naszych Poleszów były, jak sądzę, zbliżone do eskimoskich karpli.

Narciarstwo rozpowszechniło się w Europie później i właściwie dopiero wtedy, gdy zarzucono model nart nie tylko już fiński, ale i zmodyfikowany norweski i stworzono swój własny typ, tzw. alpejski. Narty alpejskie były krótsze, przeciętnie 2-metrowe, szerokość deski miały większą, wiązanie sztywne, metalowe, sprzężone ściśle z nogą. Dwa nieodzowne kije Finów i Norwegów zarzucono i posługiwano się jednym potężnym „bambusem“. Wszystko to miało ułatwić i rzeczywiście ułatwiło pokonywanie stromych górskich stoków. Dziś, gdy narty typu norweskiego wraz z dwoma kijami zawiadnęły z powrotem Europą, niejedynemu narciarzowi dziwi się, dlaczego dawniej nie przyjęto ich od razu. Przypomnę jednak, że pionierami narciarstwa w owe lata nie byli zawodnicy sportowi, ale alpinisci. Narty w pojęciu ich był to tylko środek do zdobywania gór w okresie zimowym. I jeżeli trudno nazwać alpinistami owe tysiączne już rzesze narciarzy, które jęły rychło pasjonować się alpejskimi nartami, to jednak i dla nich narty miały tylko jedno znaczenie: turystyczne. Skocznie, boiska slalomów były wówczas nieznane.

Rodowód polskiego narciarstwa jest najściślej alpinistyczny, a właściwie taternicki. Lata świetnego rozwoju polskiego taternictwa są niemal analogiczne z okresem żywiołowego wzrostu narciarstwa. Lecz rzecz charakterystyczna, pierwszym i głównym ośrodkiem, gdzie zawiązało się silnie i licznie i ambitne narciarstwo polskie, nie były Tatry i Zakopane, ale Lwów... miasto, jak wiemy, dość odległe od gór. Stało się jednak, że we Lwowie a nie gdzie indziej mieszkali najwybitniejsi wówczas taternicy pol-

scy, których zrzeszeniem elitarnym, bo złożonym zaledwie z 3 członków, był słynny Himalaja klub. Dokoła tych 3 asów, to jest: Zygmunta Klemensiewicza, Romana Kordysa i Jerzego Maślanki jęło się grupować dalsze grono. Do słynnej trójki „himalajskiej“ dołączył ktoś czwarty. Ktoś, kogo pamięta każdy polski krajoznawca. Był nim Mieczysław Orłowicz, wówczas student uniwersytetu, później doktor, a nade wszystko włóczęga niezrównany. Orłowicz, postawiwszy pierwsze swe kroki w Tatrach i Karpatach, z czasem jął przemierzać całą Polskę wzdłuż i wszerz; dotarł do każdego jej zakątka i napisał tuziny przewodników, do dziś dnia nie do zastąpienia, gdyż nikt nie zadał sobie tyle trudu, aby wędrując pieszo, nocując byle gdzie, szukać i doszukiwać się wszystkiego, czym najcichszy nawet i najmniej znany zakątek Polski darzyć miał wędrowca. Orłowicz, zgodzi się tu ze mną każdy, kto się z nim zetknął, był to wieczny ruch, wieczne dążenie naprzód, wieczna ciekawość, wieczne podróżnictwo, nienasycona miłość swej ziemi.

KTN powstał i rozwijał się do r. 1906. Ambitni taternicy pojęli wtedy, że Tatry, jako teren dla zdobywców, szukających pierwszych wejść, są już bliskie wyczerpania. Na południe zaś od Lwowa ciągnął się potężny łuk Karpat. Urocze, ale połogie stosunkowo szczyty nie mogły być żadną pożywką dla alpinistycznych ambicji w okresie letni. Co innego zima. Zima, gdy niebezpieczeństwo skalnego urwiska zastępował nieprzebity bór, zaspą śnieżna, a także karpacki wilk, wcale wówczas liczny. Cóż za okazja, ażeby wyruszyć zimą na południe i „zdobyć“ na nartach Karpaty, tak jak latem zdobyto Tatry.

Zawiązane przez lwowiaków Karpackie Towarzystwo Narciarzy stać się tedy miało drugą, po starszym od niego Towarzystwie Tatrzeńskim, organizacją miłośników gór. Doprawdy, ten lwowski KTN to wielka karta w historii polskiego sportu. Trójkątna odznaka KTN z narciarzem na tle gór stała się rychło czymś w rodzaju medalu chwały, poszukiwanym nie tylko przez nas, krakowian czy zakopańców, ale i przez wielu obcokrajowców, członków słynnego Alpen Verein'u. Słowa, którymi znakomity szwajcarski alpinista Rickmers, przybyły na zimową wyprawę do Karpat, opisywał nasze góry, naszych przewodników i karpacką szkołę jazdy, były pełne uznania i podziwu.

Zdarza się czasem, że tu, w Londynie, wpadnie

mi w ręce jakaś fotografia z owych lat, kiedy to przelatywałem z dalekiego Wiednia do Lwowa, aby razem z KTNcami wyprawiać się w Gorgony czy Czarnohorę. Minęło od tego czasu zaledwie 40 lat, a jakżeż archaicznie z punktu widzenia sportu narciarskiego pojętego nowoczesnie wyglądają nasze postacie. Nosiliśmy wówczas krótkie spodnie i grube, wełniane pończochy; na rękach rękawice wełniane sięgające aż po łokieć, na głowach czapy z nausznikami. W rękę ogromny drąg bambusa, a na plecach tak zwana „katarynka“ czyli plecak przeciętnej wagi 20 kg, bo jakże było wziąć mniej, skoro trzeba było iść na kilka dni w pustkowie karpackie pozbawione schronisk?

Jak wówczas pojmowano sport narciarski i jak się do niego brano, wyjaśni najlepiej opowieść z własnego życia. Był to rok 1907, gdy w grudniu sprowadziłem sobie z Wiednia pierwsze narty z odpowiednim ekwipunkiem odzieżowym. Tatarnik wówczas jeszcze początkujący, ale już zawzięty, sprowadziłem owe narty kierowany planem pierwszego narciarskiego wyjścia na Babią Górę. Czasu wiele do nauki narciarstwa nie miałem, zbliżały się przecież święta Bożego Narodzenia... jedyna okazja, aby uczniakowi szkoły średniej wyruszyć na wyprawę. Któż zresztą miał nauczyć mnie jazdy na nartach, gdy żadnych narciarzy w Krakowie nie było. Zakupiwszy jakąś broszurę o kunszcie narciarskim, pierwsze kroki stawiałem na Sikorniku i na Pannieńskich Skalach. Sława braci Goetłów, pierwszych w Krakowie narciarzy, rozeszła się po mieście, gdyż rychło dołączył się do nas i Jan Nowak, jeden z ekspedientów u Michalika, który gdzieś na strychu swego mieszkania odnalazł stare fińskie narty... po Barabaszu chyba. Czwartym stał się asystent Uniwerstytetu Jagiellońskiego, znakomity później mineralog W. Pawlica. Ostatni, że to pewno miał góralski „dryg“ w nogach, najsprawniejszym z nas był narciarzem. W tym oto gronie wyruszyliśmy na Babią Górę po świętach Bożego Narodzenia. Pogoda na szczęście sprzyjała — rzecz ważna, zwążywszy specjalność Babiej Góry: piekielne burze śnieżne. Pod górę szło się nam jeszcze jako tako, ale zjazd nie daj Boże! Wybraliśmy przecie, jak przystało na ambitnych „wyrzypiarzy“, najtrudniejszy zjazd, wprost stromym lasem na południe. Chrzest ów kosztował mnie parę tuzinów siniaków i wykręconą nogę w kostce, ale i oswoił mnie z beskidzkim lasem. W rok później

porałem się już bez trudu z karpackimi płajami.

Kiedy kontynuując babiogórską wyprawę znaleźliśmy się w Zakopanem, dowiedzieliśmy się, że owszem, są już w Zakopanem narciarze... pięciu. Utrwałyśmy nazwiska: Bednarski, Lesicki, Loria, Zaruski, Zdyb. Z tych Bednarski miał później zasłynąć jako as narciarstwa, także i boiskowego, Zaruski Mariusz, znany wielu jako późniejszy generał, zasłużył się wspaniale nie tylko narciarstwu, gdyż stworzył w Zakopanem i prowadził przez długie lata ochotnicze pogotowie ratunkowe przy Towarzystwie Tatrzańskim.

Szły lepsze lata. Ilość nas, narciarzy, rosła w dziesiątki, setki i tysiące. KTM stał się potężną organizacją i dysponował w górach licznymi, świetnie zagospodarowanymi schroniskami. Podbój zimowy Karpat, jak i podbój Tatr został dokonany wyłącznie niemal przez Polaków.

Pewien cień na narciarstwo turystyczne rzuciła śmierć znakomitego muzyka Mieczysława Karłowicza. Notorycznie samotny wędrowiec i marzyciel, szedł szlakiem raczej łatwym z Hali Gąsienicowej do Czarnego Stawu, gdy podcięta przezeń lawina zniosła go w dół, spętała i zamroziła. Prasa miała wówczas sposobność, aby raz jeszcze podnieść sprawę bezcelowości wysokogórskich sportów, atakowanych uprzednio, ilekroć w Tatrach zginął jakiś wędrownik. Żywiołowego pędu ku górom nie zdołano, rzecz prosta, zatrzymać.

Kiedyż jednak pojawiły się wśród narciarzy postacie górali tatrzańskich, tak słynne późniejszymi laty, gdy skok na nartach wymagał ścięgien stalowych? Nie będzie górali wśród pierwszych narciarzy, a następna czołówka zakopiańska składa się bez wyjątku z ludzi przybyłych z niziny, choć stale w Zakopanem osiadłych. Jeżeli narty przypinał ten i ów przewodnik tatrzański, to tylko w charakterze towarzysza jakiegoś taternika.

O szerokim udziale górali w sporcie narciarskim zadecydowała, jak wspominałem, skocznia. Żądza przygody, tak swoista góralom, musiała połaskotać ich z chwilą, gdy ujrzeli pierwszy próg skoczni stawianej na Krokwi. Zauważmy tu: pierwsze skocznie narciarskie, nie tylko nasze, ale i słynna „historyczna“ już skocznia w Holmenkollen, na której w Norwegii odbywały się pierwsze mistrzostwa świata, wymagały od zawodników o wiele więcej niż dzisiejsze olbrzymy, na których, jak wiadomo, w skoku dobija się setki metrów. Wówczas mistrzowie skakali tyl-

ko 30 m. i nieco ponad to. Skocznie jednak były, jak się to później mówiło, „loopingowe“, to znaczy wyrzucające zawodników ku górze, tak iż krzywizna późniejszego lotu nastęrczała wiele trudności, a samo opadnięcie na ziemię powodowało „prasę“ w kolanach, która łamała kości niejednemu gigantowi.

Pierwszym zawodnikiem góralskim na miarę nie polską już, ale światową, był Andrzej Krzeptowski. Później doszedł do niego cały łańcuch góralski z Marusarzami Staszkiem, Janem i Jędrkiem na czele.

Weteran tych lat chwali Stanisław Marusarz do dziś dnia zdobywa dobre miejsca na skoczniach polskich i obcych. A nadwyrężył swe siły niezgorzej, gdy uciekając janosikowym sposobem z niemieckiego więzienia w Krakowie przy ul. Montelupich, wykonał najświetniejszy skok swego życia, przesadziwszy w rozpędzie drugi więzienny mur.

Historia polskiego narciarstwa wśród harcerstwa naszego — to inna rozległa karta. Może ją napisze ktoś inny bardziej powołany ode mnie.

ALFRED SOKOLNICKI (USA)

75 LAT UNIwersYTETU KATOLICKIEGO

W dniu 1 czerwca 1955, w którym przypada 318 rocznica urodzin pioniera-misjonarza Jacques Marquette, Ojca Jezuita, Uniwersytet Marquette w Milwaukee rozpoczyna 75-ty roku jubileuszowy. Uniwersytet Marquette, założony w roku 1881, jest jedynym katolickim uniwersytetem w stanie Wisconsin.

TRADYCJA PATRONA

Jacques Marquette urodził się w 1637 r. w Laon, francuskim mieście katedralnym, które dało światu i katolicyzmowi trzech papieży. Jako centrum naukowe, miasto słynęło w XII wieku z filozofii i teologii. Ojcem przyszłego misjonarza był słynny prokurator Mikołaj Marquette, a matką Róża de la Salle, krewna słynnego Jean Baptiste de la Salle, fundatora Braci Szkół Chrześcijańskich. Franciszka, fundatorka Sióstr Marquette, zakonu wychowawczego dla dziewcząt, była siostrą przyszłego Jezuita.

W roku 1654 młody Jacques Marquette licząc 17 lat wstąpił do kolegium jezuickiego w mieście Nancy. W czerwcu 1666 r. wyruszył do Kanady, gdzie był skierowany na studia języków i dialektów indiańskich. W dwa lata pokonał trudności sześciu dialektów indiańskich bez pomocy gramatyki i słowników.

Stan zdrowia młodego misjonarza był sługą jego silnej woli i niezłomnego zamiaru pracowania między Indianami. Po męczących godzinach i dniach, spędzonych przy wiosłach na rzekach i jeziorach, młody misjonarz przenosić musiał łódkę przez dzikie lasy do następnej rzeki. W końcu dotarli do północnej części rzeki Mississippi. Zakończywszy swą ekspedycję, Marquette i towarzyszy Jolliet wrócili do Green Bay.

W listopadzie 1674 w swojej podróży misjonarskiej Marquette przybył do Milwaukee, gdzie przebywał kilka dni z powodu niepogody. W kwietniu 1675 założył misję w Illinois, poświęconą Niepokalanemu Poczęciu Najświętszej Marii Panny. Wkrótce potem ciężko zaniemógł. Wracając do swojego miejsca postoju, zmarł w drodze dnia 18 maja 1675 r. w okolicy Ludington Michigan.

Zapał księdza-pioniera był wzorem dla tych, którzy, jak on, byli pionierami w wychowaniu młodzieży w Milwaukee na uniwersytecie Marquette.

ZYCZENIE BISKUPA MILWAUCKIEGO

W roku 1848, gdy terytorium Wisconsin zostało trzydziestym stanem Stanów Zjednoczonych, pierwszy biskup milwaucki, Jan Marcin Henni, zaprzęgnął dać podstawy wyższemu wykształceniu w swej młodej diecezji. Postanowił założyć wyższą uczelnię nadając jej miano Jacques Marquette, pioniera obszaru Wisconsin; do kierownictwa zaprosił Ojców Jezuitów.

Belgijski przemysłowiec Wilhelm Józef De Boey, który spotkał biskupa Henni podczas jego pobytu w Antwerpii, ofiarował siedemdziesiąt pięć tysięcy franków (około \$ 16.000) na nową uczelnię, projektowaną przez biskupa. Przez długie lata różne przeszkody odwlokły otwarcie kolegium aż do roku 1881.

TRADYCJA JEZUITÓW

Nowe kolegium Marquette pod wpływem Ojców Jezuitów przejęło ich bogatą tradycję wychowawczą, sięgającą wieku szesnastego.

Po 28 latach istnienia uniwersytet stanął wobec ważnego przeobrażenia. W roku 1909 pozwolono siostrzom zakonnicom pobierać naukę uniwersytec-

ką w okresie letnim — poza regularnym rokiem akademickim. Był to pierwszy kurs letni, „summer session“, w katolickiej uczelni w Ameryce. Po raz pierwszy dopuszczono wówczas kobiety do korzystania z programu studiów naukowych w zakładzie Jezuitów.

W roku 1912, za pozwoleniem Ojca Generała w Rzymie, kobiety uzyskały prawo wstępu na uniwersytet Marquette. Raz jeszcze uniwersytet Marquette okazał się pionierem między uczelniami katolickimi. Odtąd kobiety odbywały studia razem z studentami mężczyznami.

ROZWÓJ UNIWERSYTETU

Od roku 1881 liczba słuchaczy i słuchaczek wzrosła corocznie. Liczba wydziałów od jednego wzrosła do dziesięciu. W roku 1908 zorganizowano Kolegium Inżynierskie (College of Engineering) i Fakultet Prawa (Law School). Kolegium przemysłu (College of Business Administration) powstało w roku 1910. Następnie założono kolegium dentytyczne (Dental School) w roku 1913. W tym samym roku dwie uczelnie, prowadzące studia medyczne, połączyły swe siły i zostały włączone do uniwersytetu, jako Kolegium Medyczne (Medical School). W 1916 r. wydział dziennikarstwa, który istniał w ramach kolegium Liberal Arts od roku 1910, został podniesiony do godności kolegium (College of Journalism). Kolegium nauk wyższych (Graduate School) było zorganizowane w roku 1922 dla nadawania stopni naukowych (poza stopniem bakałarza).

Wydział wymowy, który istniał w kolegium Liberal Arts, od roku 1922 został uznany za „School of Speech“ w roku 1926. W roku 1936 kolegium

pielęgniarstwa przy Szpitalu Świętego Józefa zostało częścią uniwersytetu Marquette.

Dzisiaj uniwersytet Marquette jest największym katolickim uniwersytetem w Ameryce. Grono, złożone z przeszło 860 profesorów i instruktorów, prowadzi wykłady i ćwiczenia na 77 wydziałach, skupionych w powyżej wymienionych kolegiach i fakultetach. Większość wykładowców stanowią osoby świeckie; tylko 45 Ojców Jezuitów wchodzi do grona profesorskiego. ;

Od roku 1950 datuje się fenomenalny rozwój uniwersytetu, ujawniający się w budowie nowych gmachów za sumę siedmiu milionów dolarów. Powstają nowe gmachy biblioteki ogólnej, biblioteki medyczo-dentystycznej, świetlicy studenckiej, sypialni męskich i żeńskich etc. Liczba słuchaczy i słuchaczek wzrosła do ponad 9.000. Rozwojem tym kieruje obecny rektor, przewielebny Ojciec Edward J. O'Donnell, wychowanek uniwersytetu Marquette. Oczekiwać należy dalszej rozbudowy, gdyż Milwaukee niedawno zostało siedzibą nowej prowincji Zakonu Ojców Jezuitów. Uniwersytet Marquette będzie siedzibą wykładów dla młodzieńców, wступujących do zakonu Jezuitów.

HASŁA NA PRZYSZŁOŚĆ

Hasłem uniwersytetu Marquette jest „The pursuit of truth to make men free“ — szukania prawdy dla oswobodzenia społeczeństwa. Hasło to przewodzić będzie obchodom 75-lecia istnienia uniwersytetu. Wierny ideałom i tradycjom założyciela Zakonu, św. Ignacego-Lojoli, i przykładowi pionieramisjonarza, który jest patronem uniwersytetu, uniwersytet Marquette będzie nadal pracował na wszystkich polach na większą chwałę Bożą — „Ad majorem Dei gloriam“.

Z Ż Y C I A Y M C A

NASZ NOWY WSPÓLAUTOR

Zdzisław Faczyński, młody, obiecujący talent muzyczny, ma już za sobą lata samodzielnej pracy twórczej. Umie rozwiązywać problemy kompozycyjne na papierze nutowym nie gorzej od doświadczonych kompozytorów, czego dowodem jest partytura opracowanych przez niego tańców kujawskich i trojaka. W transkrypcjach tematów ludowych przejawia pomysłowość rytmiczną i śmiałą harmonizację.

W swojej działalności artystycznej p. Faczyński przejawia wiele ruchliwości. Oddawna występuje jako solista na koncertach (wionolczela),

bierze udział w trio muzycznym, które odniosło już nie jeden sukces, organizuje zespoły muzyczne. Obecnie pracuje nad zbiorciem polskich melodii ludowych, które zamierza ogłosić w osobnym tomiku.

SENSACJE ROZGRYWEK SZACHOWYCH

Turniej szachowy o mistrzostwo Klubu YMCA w Londynie wchodzi w stadium końcowe. Rozgrywki miały w roku bieżącym przebieg bardzo emocjonujący. Na miejsce czołowe wysunął się p. H. Zamojski, który po 10 rozegranych partiach zdobył 8 punktów, mając siedem partii wy-

granych, jedną przegraną i dwa remisy. Dalsze miejsca w tabeli zajmują na razie pp. prezes Duda Morena i ubiegłoroczny mistrz Klubu Jeżewski, którzy mają po 6½ punktu, ale grali o jedną partię mniej od p. Zamojskiego. Jedno potknięcie w grach najbliższych może wywołać zmianę prowadzenia w tabeli. Nie koniec na tym: w niedalekiej odległości za trzema graczami czołowymi podąża p. Forysiak (6 punktów), a inni uczestnicy turnieju nie złożyli jeszcze broni i nadal pretendują do miejsc zaszczytnych. Słowem, szachistów Klubu YMCA czeka jeszcze w roku bieżącym silne wzruszenia.

Równocześnie odbywają się w trzech grupach rozgrywki o mistrzostwo Londynu, którego zwycięzca otrzyma puchar ufundowany przez „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza“ (oczywiście tylko na jeden rok, gdyż puchar jest przechodni). Wyróżnili się dotychczas pp. Jeżewski i Zamojski którzy w swojej grupie nie stracili ani jednego punktu. P. Jeżewski wygrał dotychczas 6 partii, a p. Zamojski 5. Los skazał ich na współzawodniczenie w tej samej grupie, dotychczas jednak ze sobą nie grali. Spotkanie ich w ramach mistrzostw londyńskich budzi wśród kolegów klubowych duże zaciekanie.

Z NASZEJ AKCJI ODCZYTOWEJ

Program Klubu Londyńskiego przynosi co miesiąc kilka odczytów, związanych z bieżącymi zainteresowaniami członków. W związku ze zbliżającym się stuleciem śmierci Mickiewicza jeden z wieczorów majowych poświęcono tematowi Mickiewiczowskiemu. Prelegent dr Giergielewicz mówił o „upartej zagadce Mickiewiczowskiej“, mianowicie o zastosowanym w widzeniu ks. Piotra w „Dziadach“ symbolu liczbowym „44“. Po dokonaniu przeglądu tłumaczeń dawniejszych mówca zaznajomił słuchaczy ze stanowiskiem, jakie w tej sprawie zajmuje współczesna wiedza naukowo-literacka. Ostatnio magister Zdzisław Broncel omówił ciekawe zjawisko krajowe, a mianowicie objawy zmienionego stanowiska wobec pisarzy i ich twórczości.

SLUCHOWISKO RADIA WOLNEJ EUROPY

Jak już donosiliśmy, z inicjatywy Polskiej YMCA i dzięki życzliwemu stanowisku kierownika działu polskiego Radia Wolnej Europy odbywają się w Klubie YMCA nagrania sztuk, nadawanych dla Kraju. Program składa się za-

wyczaj z dwóch słuchowisk, trwających przeciętnie po 40 minut. Dzięki tym audycjom publiczność londyńska ma możliwość bliższego zapoznawania się z wysiłkiem artystycznym Teatru Wyobraźni, działającego w ramach stacji monachijskiej. Szczególne zajęcie budzą sztuki, nagrodzone na ostatnim konkursie Radio Free Europe.

SZKOLENIE PRZODOWNIKÓW YMCA

Sukcesy YMCA w różnych krajach i częściach świata wzrosły w znacznej mierze z właściwego szkolenia osób, przeznaczonych na stanowiska przodownicze. Potwierdza to m. in. doświadczenie polskiego ruchu YMCA, jak bowiem wiadomo, ś. p. Paul Super, który przyczynił się w tak poważnej mierze do powstania i utrwalenia podstaw Polskiej YMCA, był specjalistą w zakresie szkolenia przodowników YMCA i wydał znakomity podręcznik, poświęcony temu zagadnieniu, który nie utracił po dzień dzisiejszy swojej wartości.

W chwili obecnej dostrzec można wszędzie wznoszącą potrzebę większej ilości odpowiednio przeszkolonych przodowników imciarskich. Wiele związków narodowych YMCA miałyby możliwość znacznego rozrostu wszcz, pod tym jednak warunkiem, że znajdą się kadry wykwalifikowanych pracowników, istniejącej bowiem personel nie mógłby sprostać nowym zadaniom i obowiązkom. Co więcej, zdarza się, że otwiera się możliwość zakładania nowych ośrodków, jednak wszelkie projekty rozbijają się z powodu braku przodowników. Słowem, sprawa nabrała wagi i pilności.

Na ogół istnieją tendencję w kierunku uznawania za kadre przodowniczą jedynie tych pracowników, którzy cały swój czas poświęcają pracy imciarskiej. Taka interpretacja problemu byłaby jednak za wąska. Pomyślność ruchu zależy również — i to w niemniejszym stopniu — od sił ochotniczych, wyrastających z ruchu imciarskiego. Aby przyniosły korzyść, trzeba im zapewnić stosowne wykszolenie.

Przygotowanie obejmuje nie tylko nabycie pewnych umiejętności technicznych, ale i ogólne wyrobienie oraz uzyskanie koniecznych wartości moralnych. Wiadomo bowiem, że w ramach YMCA obowiązkiem przodownika, jest nie rządzenie, ale służba; powinien zmierzać przede wszystkim do wyzwolenia tych wartości we-

wewnętrznych, jakie posiada otoczenie. Zdarza się oczywiście, że w grupie np. chłopców trzeba kogoś skarcieć za niewłaściwe zachowanie, ale nawet na tym poziomie działalności nacisk pada na wyrobienie w młodzieży poczucia indywidualnej odpowiedzialności. Aby cel ten osiągnąć, trzeba mieć siłę moralną, udzielającą się bez stosowania sankcji. Na tym opiera się m. in. demokratyczne podłoże ruchu imciarskiego.

Sekretarze YMCA nigdy nie powinni być na tyle pochłonięci pracą bieżącą, aby tracili z oczu nakaz selekcji przyszłych przodowników. Wbrew pozorom wygodniej jest niekiedy wykonać jakąś pracę własnym wysiłkiem, niż powoływać do współdziałania kogoś niewyrobionego, aby dać mu szansę wybicia się i przygotowania się do funkcji przodowniczych. Jednak nie należy w tego rodzaju przypadkach grzeszyć krótkowzrocznością. Dynamika rozwoju ruchu imciarskiego wiąże się z właściwą polityką szkoleniową, która zależy nie tylko od poleceń ogólnych, ale i od postawy współpracowników na różnych szczeblach wykonawczych.

Na sprawę przodowników zwrócono szczególną uwagę w przygotowaniach do XXII Światowej Konferencji YMCA, zapowiedzianej na 16-22 sierpnia roku bieżącego. Uczestnicy otrzymali materiały, które powinny ułatwić dyskusję i ustalenie odpowiednich wniosków. Oto kilka typowych pytań do przemyślenia, wysuniętych przez organizatorów konferencji:

— Czy w danym środowisku społecznym istnieje utrwalona tradycja ochotniczej pracy społecznej? Jeśli nie, to w jaki sposób miejscowa YMCA pozyskuje swoich wolontariuszy do współpracy?

— Jakie kroki podejmuje YMCA dla poinformowania swych członków o problemach i potrzebach swych i co czyni dla rozbudzenia aktywnej postawy wobec swoich poczynań?

— Czy miejscowa YMCA spotyka się wśród młodszego pokolenia ze stanowiskiem opornym wobec prób dzielenia odpowiedzialności i współuczestnictwa w pracy przodowniczej? Jeśli tego rodzaju objawy występują, co czyni się dla ich przezwyciężenia?

— Jakie są najpoważniejsze braki, dostrzegane w istniejącej kadrze przodowniczej: właściwości charakteru, umiejętności specjalne, właściwe podejście do otoczenia czy jakiegokolwiek inne niedostatki? Jakie wnioski wynikają stąd dla zamierzonego szkolenia przodowników?

— Jakie rodzaje materiałów wydawniczych okazały się najbardziej pomocnicze w pracach szkoleniowych? Czy zostały one udostępnione osobom zainteresowanym?

— Czy podjęto stosowne przygotowania dla wyćwiczenia osób, zgłaszających się do pracy ochotniczej?

— Jaka opieka zapewniona została pod tym względem jednostkom, które nie są członkami rzeczywistymi?

— Czy przy rekrutacji pracowników korzysta się z zastępu członków własnych, czy też zatrudniani pochodzą z zewnątrz?

Przytoczone pytania stanowią zaledwie część tematów, które staną się przedmiotem obrad na XXII Konferencji YMCA w Paryżu. Ilustrują one najlepiej wagę, jaką ruch YMCA przywiązuje do szkolenia przodowników. Powinny one stać się dla osób, które w konferencji wezmą udział, do starannego przemyślenia sprawy. Należy mieć także na względzie, że podobne problemy mają również do rozwiązania inne zrzeszenia i organizacje.

WYJAZD NA UROCZYSTOŚCI STULECIA

W związku ze zbliżającym się terminem obchodu Stulecia Światowego Komitetu YMCA w Paryżu, Brytyjska YMCA organizuje zbiorowy wyjazd swoich członków, udających się na te uroczystości. Ustalony plan podróży jest następujący:

1. Dla osób, wyjeżdżających na Światowy Obóz Chłopców, Konferencję Chłopców Starszych, Światową Konferencję Młodzieży i Światową Konferencję Sekretarzy, uruchomiony zostanie specjalny pociąg, który opuści Londyn ze stacji Victoria o godz. 8.40 rano w dniu 12 sierpnia; przybycie do Paryża nastąpi o godzinie 5.10 po południu.

2. Osoby, uczestniczące w innych wydarzeniach, związanych ze Stuleciem, odbywać mogą podróż indywidualnie, ale organizatorzy zarezerwują odpowiednią liczbę miejsc w pociągu, który wyjedzie ze stacji Victoria w Londynie w dniu 16 sierpnia o godz. 9.30 rano; przyjazd do Paryża nastąpi o godz. 5.03 po południu.

3. Przewiduje się dla wszystkich uczestników Stulecia, przybyłych z Wielkiej Brytanii, powrót do Londynu specjalnym pociągiem, który wyjedzie z Gare du Nord w Paryżu dnia 24 sierpnia

o godz. 7.45 rano. Przyjazd do Londynu nastąpi o godz. 4.27 pp.

Uczestnicy otrzymują specjalne ulgi kolejowe, przy czym koszt biletu obejmie także ubezpieczenie pasażerów i ich bagażu oraz jeden suchy posiłek.

Osoby, zamieszkujące poza Londynem, muszą przybyć na dworzec Victoria z takim obliczeniem, aby zdążyć na odpowiednie pociągi. Muszą one zatroszczyć się z góry o ew. nocleg w Londynie.

Polska YMCA uzyskała zgodę Brytyjskiej YMCA na przyłączenie się do podanego schematu podróży.

Przy sposobności należy przypomnieć, że Polacy, którzy nie są obywatelami brytyjskimi, muszą wystarać się o uzyskanie specjalnego dokumentu osobistego, tzw. Travel Document, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych (Home Office) oraz o wizę francuską. Władze francuskie przyznały wszystkim uczestnikom, zgłoszonym oficjalnie na uroczystości Stulecia, wizy bezpłatne.

Radio w ramach Stulecia YMCA

O doniosłości zapowiedzianych obchodów Stulecia świadczy m. in. zorganizowanie na niezwykle szeroką skalę obsługi radiowej i telewizyjnej, obejmującej wszystkie ważniejsze momenty zjazdów i konferencji w Paryżu. Czternaście krajów przysłało swoich specjalnych przedstawicieli, odpowiedzialnych za audycje radiowe.

Film Stulecia

Na początku roku bieżącego podjęto starania w celu nagrania filmu, przedstawiającego obchód Stulecia YMCA w Paryżu. Konkretnie propozycję zgłosiło towarzystwo filmowe, któremu przewodzi znany przemysłowiec angielski J. Arthur Rank.

Historia YMCA

Prace, związane z drukiem wielkiej historii ruchu światowego YMCA dobiegają końca. Przewiduje się, że książka ukaże się w przededniu uroczystości Stulecia. Obejmuje ona około 700 stron druku i stanowić będzie podstawowe źródło wiadomości o YMCA w skali światowej. Zamówienia na to wydawnictwo kierować można za pośrednictwem Polskiej YMCA.

Co jest najważniejsze

Dotychczas nie przeprowadzono sondażu opinii na temat zamierzonego programu XXII Konferencji Światowej YMCA, ale z głosów, jakie otrzymali organizatorzy, należy wnioskować, że na miejsce naczelnego w opinii uczestników wysuwają się trzy tematy:

- Misja chrześcijańska YMCA,
- YMCA, Kościół i jedność chrześcijańska,
- Wytrobienie i kształcenie przodowników.

Goście zza Oceanu w Paryżu

Za wcześniej jeszcze na obliczanie liczby uczestników, którzy zjadą na paryskie uroczystości Stulecia. W każdym razie b. liczne zgłoszenia napłynęły m. in. ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Nowej Zelandii, Australii, Japonii i państw Ameryki Południowej. Pojawia się zatem możliwość nawiązania takich kontaktów, jakie w zwykłych warunkach są bardzo trudne do uzyskania.

Udział Polaków

Według obecnych przewidywań, w Stuleciu wezmą udział imiennie polscy z Niemiec, Francji, i Wielkiej Brytanii. Jeśli chodzi o Anglię, do Paryża wybiera się na razie 27 osób.

Stroje narodowe

Organizatorzy uroczystości Stulecia zwracają się do uczestników zagranicznych, aby w miarę możliwości zabierali ze sobą stroje narodowe. Mogą się one przydać dla nadania barwności niektórym wystąpieniom publicznym uczestników Zjazdu oraz ogólnego zbliżenia kulturalnego.

WŁADZE OGNISKA POLSKIEJ YMCA W WIELKIEJ BRYTANII

W sobotę dnia 25 czerwca r.b. odbyło się walne zebranie członków rzeczywistych Polskiej YMCA w Barnsley. Przewodniczył p. Maksymilian Reich; obowiązki sekretarza pełnił p. Jerzy Hertz. Po przyjęciu do zatwierdzającej wiadomości statutu Polskiej YMCA oraz regulaminu ogniska zebrani wybrali władze Ogniska w Barnsley w następującym składzie: prezes — p. Mieczysław Stolarski; wiceprezesi — pp. Stefan Feist i Rudolf Granieczny; skarbnik — p. Henryk Pęczkowski; sekretarz p. Jerzy Hertz; członkowie zarządu — pp. Stefan Kasperek i Zdzisław Matysiak. W skład Komisji Rewizyjnej weszli

pp. Aleksander Botwiński jako prezes oraz Kazimierz Felski i Stefan Szczepaniak jako członkowie. Delegatami do Rady Sekcji Wielkobrytyjskiej zostali pp. Rudolf Granieczny, Henryk Pęczkowski, Maksymilian Reich i Mieczysław Stolarski. Wszystkie decyzje zapadły jednogłośnie.

Podobne zebrania odbyły się w Ogniskach Polskiej YMCA w Sheffield i w Londynie w niedzielę dnia 26 czerwca. Podajemy najpierw nowo obrane władze Ogniska Polskiej YMCA w Sheffield: pp. Antoni Rudolf (prezes), Czesława Hoffmanowa i Antoni Gruchot (wiceprezesi), Jerzy de Laveaux (sekretarz), Erwin Sikora (skarbnik), Bogdan Lota i Władysław Sosnowski (członkowie Zarządu); dr Jerzy Rohatiner (prezes Komisji Rewizyjnej), Edward Ciesielski i Alfred Scheffler (członkowie Komisji Rewizyjnej), wreszcie na delegatów do Rady Sekcji wybrano pp. Czesławę Hoffmanową, dra Jerzego Rohatintera, Antoniego Rudolfa i Alfreda Schefflera.

W Ognisku Londyńskim prezesem został wybrany p. Michał Stopa, wiceprezesami zostali p. Adam Marian Arvay i Władysław Rydzewski, skarbnikiem — p. Michał Zawadowski, sekretarzem — p. Roman Grzymała; poza tym do zarządu weszli pp. Ewaryst Hołdanowicz, Jan Markiewicz, Konstanty Siemaszko i Tadeusz Somkiewicz. Ustalono skład Komisji Rewizyjnej obejmując p. konsula Feliksa Kollata jako prezesa i pp. Władysława Gąsiorowskiego i Jerzego Zielińskiego jako członków. Na delegatów do Rady Sekcji powołano pp. Adama Dyboskiego, Andrzeja Kamienieckiego, generała Mariana Kukiela, dra Władysława Rydzewskiego, Michała Stopę, Adama Strzeszewskiego i Sir Frank Willisa.

PRZEBUDOWA GMACHU LONDYŃSKIEGO

Hołubce, wybijane przez uczestników zespołu tanecznego Polskiej YMCA w Londynie, okazały się zbyt ciężką próbą dla sufitów gmachu, w którym mieści się nasze ognisko londyńskie. Pojawiły się złowrogie rysy, które zmusiły do gruntownego zbadania ścian i podłóg. Wynik okazał się ten, że postanowiono wzmocnić budynek przez założenie żelaznych belek.

Równocześnie dokonywa się innej, ważnej przeróbki. Dwie salki na pierwszym piętrze zostaną połączone w ten sposób, że Ognisko uzyska salę dużych rozmiarów, nadającą się na urządzenie przedstawień, zabaw, wystaw itp. Pomyślna przegroda pozwoli na wyzyskiwanie obu części sali razem lub oddzielnie.

Prace pochłoną kilka tygodni. Na efekt ich czekają niecierpliwie nie tylko nasi tancerze, ale i ogół członków Ogniska Londyńskiego. Na razie jednak trzeba przejść okres dość kłopotliwy, raz po raz bowiem któreś z pomieszczeń staje się nie do użytku ze względu na pracujących w nim robotników. Spodziewamy się, że z tumanów kurzu wyłoni się na jesieni gmach Polskiej YMCA w Londynie okazalszy, niż kiedykolwiek przedtem.

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze „Poradnika“ nad tytułem artykułu sportowego Ferdynanda Goetla opuszczono jego nazwisko (które jednak figuruje w spisie rzeczy), za co autora uprzejmie przeproszamy.

A L E K S A N D E R F R E D R O

P A N B E N E T

CENA 3/6

ZAMÓWIENIA PROSIMY KIEROWAC DO ADMINISTRACJI „PORADNIKA“

TEGOROCZNY OBÓZ LETNI POLSKIEJ YMCA

Wzorem lat ubiegłych oraz zgodnie z przedwojennymi tradycjami obozownictwa imciarskiego w kraju, Polska YMCA w Wielkiej Brytanii urządzi w okresie wakacyjnym roku bieżącego OBÓZ LETNI dla chłopców w wieku od lat 12 do 18. Obóz ten będzie prowadzony samodzielnie z własnym kierownictwem i programem.

Namioty mieścić się będą na obszarze wielkiego parku o powierzchni 88 akrów. Park ten, nadający się idealnie dla celów kempingowych, leży nad rzeką Hamble, na której uczestnicy obozu korzystać mogą z łodzi, żaglówek i kąpeli. Lesista okolica stwarza doskonałe warunki wypoczynkowe. Liczne grupy młodzieży brytyjskiej i przybyłej z innych krajów obozują w najbliższym sąsiedztwie, co daje sposobność do ciekawego współzawodnictwa.

Z a o p a t r z e n i e i w y p o s a ż e n i e

Obóz posiada stałe urządzenia higieniczne. Na miejscu czynny jest codziennie sklepik, zaopatrzony w produkty spożywcze oraz wszelkie przedmioty pierwszej potrzeby. Zapewniona jest opieka lekarska i zdrowotna. Uczestnicy korzystają z różnorodnych udogodnień sportowych, jak boiska do siatkówki, koszykówki, piłki nożnej, krykieta i lekkiej atletyki oraz stoły ping-pongowe. Łodzie, żaglówki oraz korty tenisowe są dostępne za opłatą. Kierownictwo dołoży wszelkich starań, aby wyżywienie było obfite, smaczne i pożywne. Kuchnia prowadzona będzie we własnym zakresie przez fachowego kucharza Polaka.

P r o g r a m

Program obozu opiera się na doświadczeniach obozownictwa Polskiej YMCA sprzed wojny oraz z lat ostatnich. Przewiduje się między innymi uprawianie na szeroką skalę gier sportowych, zawodów i zaprawy lekkoatletycznej i pływackiej (z przystosowaniem do wieku uczestników), prób sprawności dla uzyskania polskiej odznaki sportowej, kąpeli pod nadzorem, wycieczek krajoznawczych i przyrodniczych. Osobny dział programowy stanowią będą ogniska i pogadanki oraz zajęcia w grupach zainteresowań. Przewidziane są konkursy i rozgrywki. Położony będzie nacisk na pogłębienie wiadomości chłopców z zakresu języka i dziejów ojczystych. Do użytku obozowców i pod ich zarząd oddana będzie odpowiednio wyposażona biblioteka. Bank obozowy zapewni bezpieczeństwo drobnych funduszy uczestników, zaznajamiając ich jednocześnie z zasadami racjonalnego oszczędzania.

Obozowców obowiązywać będzie udział w niedzielę i święta w nabożeństwach.

Uczestnicy zgromadzeni będą w zespołach od 6 do 8 pod opieką specjalnie przeszkolonych przodowników; nad całością czuwać będzie polski kierownik obozu, którym jest jeden z przedwojennych pracowników YMCA o wieloletnim doświadczeniu obozowym.

T e r m i n

Obóz trwać będzie trzy tygodnie: od dnia 25 lipca do 15 sierpnia. Najkrótszy pobyt wynosi dwa tygodnie.

O p ł a t y

Koszt pobytu w obozie wynosi 57 sh. na tydzień. Opłata pokrywa całkowitą należność za wyżywienie i pomieszczenie; wszyscy uczestnicy ubezpieczeni są na życie i od wypadku. Obóz zaopatruje chłopców we wszystkie potrzebne przedmioty i urządzenia, z wyjątkiem osobistych przyborów toaletowych. Listę przedmiotów, które uczestnicy winni zabrać ze sobą, podajemy osobno.

Z g ł o s z e n i a

Wszelką korespondencję w sprawie obozu Polskiej YMCA w Botley należy kierować pod następującym adresem: Polska YMCA, 46/47 Kensington Gardens Square, W.2. Telefon BAY 4678.

Termin zgłoszeń upływa z dniem 15 lipca br. Osoby zainteresowane (rodzice lub opiekunowie, ew. sami kandydaci na obóz) winny wypełnić formularze oraz nadesłać Postal Order na kwotę 10 szylingów (które zwrotowi nie podlegają). Reszta należności za pobyt winna być wpłacona nie później niż na 7 dni przed wyjazdem uczestników na Obóz.

WYBÓR UTWORÓW SCENICZNYCH I INSCENIZACJI

DRUKOWANYCH W „PORADNIKU KULTURALNO-OŚWIATOWYM“ W LATACH 1947—54

1. **Komedie, fraszki sceniczne, farsy, jednoaktówki, sensacyjne:**
 - Budziński Wiktor** —
 - Babcia winna, komedia w jednym akcie; Nr 141/2, rocznik 1952.
 - Kelnerzy (z nutami), Nr 116/117, rocznik 1950.
 - Villa Esperanza (Miasteczko Nadziei); Nr 125, rocznik 1951.
 - Conrad Joseph** —
 - Jutro; Nr 157/8, rocznik 1953.
 - Fredro Aleksander** —
 - Nikt mnie nie zna; Nr 152/3, rocznik 1953.
 - Pierwsza lepsza czyli Nauka zbawienna; Nr 109, rocznik 1949.
 - Świeczka zgasła; Nr 121/122, rocznik 1950.
 - Z jakim się wdajesz, takim się stajesz; Nr 121/122, rocznik 1950.
 - Konopnicka Maria** —
 - Moja cioteczka; Nr 140, rocznik 1952.
 - Kuszełowska Stanisława** —
 - Dama kier; Nr 93, rocznik 1948.
 - Lisiewicz Teodozja** —
 - Dwa ogniwa; Nr 113/114, rocznik 1950.
 - Pomyłka Urszuli; Nr 118, rocznik 1950.
 - Legenda; Nr 120, rocznik 1950.
 - Amator; Nr 126/127, rocznik 1951.
 - Szalenie miły wieczór; Nr 146/7, rocznik 1952.
 - Szklanka mleka; Nr 128/129, rocznik 1951.
 - Lepiej późno, niż nigdy; Nr 135/136, rocznik 1951.
 - Marynowski Zdzisław** —
 - Operacja; Nr 92, rocznik 1948.
 - Słowny człowiek; Nr 104, rocznik 1949.
 - Murzyn (epizod sensacyjny); Nr 107/108, rocznik 1949.
 - Wyrok (epizod dramatyczny z czasów okupacji niemieckiej); Nr 130/131, rocznik 1951.
 - Newakowski Tadeusz** —
 - Przyczyna nieznaną; Nr 101, rocznik 1949.
 - Prus Bolesław** —
 - Drzymalski, ty chcesz się żenić! (Przeróbka sceniczna); Nr 119, rocznik 1950.
 - Tetmajer Kazimierz** —
 - Książę Piotr, opracowanie sceniczne Olgi Żeromskiej; Nr 123/124, rocznik 1950.
2. **Inscenizacje obrzędowe, świąteczne i o podkładzie ludowym:**
 - Bogusławska Anna** —
 - Wesele na Mazowszu (z nutami); Nr 94/95, rocznik 1948.
 - Cierniak Jędrzej** —
 - Zapusty z „podkoziółkiem“; Nr 100, rocznik 1948.
 - Czuchoński Marian** —
 - Świecone czyli aksamitna wiązanka bazi; Nr 102, rocznik 1949.
 - Anioł pasterzom mówi; Nr 110, rocznik 1949.
 - Dożynki i pieśni dożynkowe (z nutami); Nr 81/82, rocznik 1947.
 - Jabłoński Adam** —
 - Jarmark, widowisko na Boże Narodzenie; Nr 133/134, rocznik 1951.
 - Piech S.**
 - Wiosna idzie; Nr 77/78, rocznik 1947.
 - Sobótka i Wianki (z nutami); Nr 79/80, rocznik 1947.
 - Schiller Leon** —
 - Pastoralka (z nutami); Nr 87/88, rocznik 1947.
 - Turowiczówna J.** —
 - Stała się nam nowina; Nr 149/150, rocznik 1953.
 - Zawiejski Jerzy** —
 - Kolyśanka Jezusowa (z nutami); Nr 133/134, rocznik 1951.
 - Zeromska Olga** —
 - Wybór poezji i muzyki religijnej; Nr 111/112, rocznik 1949.
 - Wzór inscenizacji śpiewno-tanecznej: Choćbym ja jeździł (z nutami); Nr 132, rocznik 1951.
 - Wiosna w Polsce (z nutami); Nr 77/78, rocznik 1947.
3. **Inscenizacje, widowiska i słuchowiska o motywach artystyczno-literackich i historycznych:**
 - Bronceł Zdzisław** —
 - Matka i syn (o Stefanie Żeromskim); Nr 90, rocznik 1948.
 - My wszyscy z niego (o Adamie Mickiewiczu); Nr 98/99, rocznik 1948.
 - Czuchoński Marian** —
 - Wiosna ludów — wiosna narodów; Nr 89, rocznik 1948.
 - Duch niesiony na skrzydłach wiatru (o rzeźbiarzu ludowym Janie Raku); Nr 96/97, rocznik 1948.
 - Żyłem z wami, cierpiełem i płakałem z wami (o Juliuszu Słowackim); Nr 103, rocznik 1949.
 - Pięć serc i jedna muzyka (o Fryderyku Szopenie); Nr 105/106, rocznik 1949.
 - Karpiński Ziemowit** —
 - Wspomnienie Warszawy; Nr 83/84, rocznik 1947.
 - W 500-lecie Kazimierza Jagiellończyka; Nr 85, rocznik 1947.
 - Olimpiada; Nr 91, rocznik 1948.
 - Nowakowski Tadeusz** —
 - Wspomnienie o Prusie; Nr 86, rocznik 1947.
4. **Utwory sceniczne dla młodzieży:**
 - Lisiewicz Teodozja** —
 - Pazur Niedźwiedzi; Nr 115, rocznik 1950.